



**huczne
stulecie**



**poczekalnia
dramatów**



**pogotowie
od nie-
szczęść**



**„Kontak-
ciki”**



**w zupełnie
starym
stylu**

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

28

(104)

KONTAKTY

10 X 1982

Cena 12 zł



misja

O misji wojska, najbardziej drażliwych i denerwujących problemach województwa, o relacji władza — obywatel — z pełnomocnikiem Komitetu Obrony Kraju w województwie łomżyńskim, płk. Kazimierzem Jaroniem — rozmawia Władysław Tocki.

„Kontakty”: — Kiedyś popędzało się koła urzędnikowi pogróżką: „Pan wie, kim jest mój wujek” albo „Stryjek pana pokaże!” Najczęściej była ona nieskuteczna: urzędnik też miał swojego „wujka” i niczego się nie obawiał. Dziś wystarczy szepnąć: „Idę do komisarza”, by znikła obojętność, a na jego miejsce pojawił się — w stosunku do niedawnego natręta — uśmiech uprzejmości. To socjolingwistyczne zjawisko określa — w dużym uproszczeniu — rolę pełnomocnika KOK-u. A jak swą misję widzi on sam?

KAZIMIERZ JARON: — Misja to polecenie wykonania poważnego zadania. Lapidarnie powiedzieć więc mogę: mam do wykonania zadania wynikające z dekretu o stanie wojennym oraz ustaleń Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Społeczne zaś odczucie, które kryje się pod tym, o czym pan mówił, wynika z funkcji kontrolnej, jaką wraz ze swymi współpracownikami spełniam. Jeśli wkładam w to maksimum konsekwencji i wiedzy, nie uważam sprawy za załatwioną przez samo wytknięcie nieprawidłowości, staję się też chyba po trosze współgospodarzem tego terenu. Oczywiście, nie jako struktura władzy, bo nią nie jestem, lecz przez poczucie współodpowiedzialności.

„K.” — Odznacza się Pan od razu od władzy, tymczasem słyszy się głosy, że wojsko się w niej rozsmakowało: oficerowie zostają ministrami, wojewodami, prezydentami. I konkluzję — wojsku wcale się nie spieszy z powrotem do koszar.

K.J.: — W tych kilkunastu konkretnych przypadkach, kiedy wojskowi objęli stanowiska w administracji państwowej, stało się tak z polecenia, a nie żądzy władzy. Szybki postęp w tej lub innej dziedzinie zapewnić mógł tylko świetny fachowiec, a takich wojsko posiada. Była więc konieczność, by przyszedł ktoś nowy, bo w istniejących układach nie było gwarantowało, że ruszy tam rzetelna praca. Powrót do koszar uzależniony jest od normalizacji stosunków w kraju. A ktoś by nie chciał, żeby nastąpiło to jak najszybciej.

„K.”: — Jest Pan w województwie „kimś”. Czy nie zauważył Pan wokół siebie tak zwanego mechanizmu dworu, to znaczy: obecności ludzi układnych, gotowych do spełnienia każdego polecenia, pochlebców na każdą okazję.

Żołnierzom i funkcjonariuszom Milicji Obywatelskiej — spokoju w domu ojczystym, spokoju w domu rodzinnym, nie tylko w dni świąteczne

życzą „KONTAKTY”

CIĄG DALSZY NA STR. 5

W następnym numerze: ★ o naszych wspaniałych pedagogach ★ biogaz — pomysł do kupienia ★ o suchych bagnach ★ c.d. podkultury w łapciach ★ „Podziemny parlament” ★ wspomnienie o łomżyńniku Franciszku Hryniewiczzu ★ wiedza tajemna.

PÓLMEK DWUPÓLLETNIEJ kadencji, upływającej od IX Zjazdu, wypadła akurat na październik 1982 roku. Jest to więc miesiąc kampanii sprawozdawczej w podstawowych, oddziałowych, zakładowych, miejskich, gminnych, miejsko-gminnych i wojewódzkich organizacjach partyjnych. Rozpoczną się one zebraniem w POP i zakończą — w pierwszej połowie lutego 1983 roku — konferencjami wojewódzkimi. Stanowiąc będzie ważne ideowo i organizacyjne wydarzenia w partii i społeczeństwie. Jej przebieg i rezultaty mają między innymi służyć: umocnieniu zaufania do partii, jej wiary z klasą robotniczą, rozszerzeniu płaszczyzny zaufania dla programu i polityki PZPR, aktywizacji szeregu partyjnych w trudnym procesie normalizacji i stabilizacji życia w kraju.

Wytyczne Biura Politycznego zobowiązują organizacje i komitety partyjne do dokonania w trakcie zebrań i konferencji sprawozdawczych wnikliwej, wszechstronnej oceny realizacji zadań wynikających z uchwał Komitetu Centralnego oraz uchwał i wniosków przyjętych na zebraniach sprawozdawczych-wyborczych przed IX Nadzwyczajnym Zjazdem PZPR. Zebrania i konferencje sprawozdawcze, po dokonaniu ocen realizacji własnych uchwał i wniosków, oceną zgodności ich treści z programem IX Zjazdu, Statutem i uchwałami kolejnych posiedzeń plenarnych KC, a następnie — w oparciu o te oceny i zgłaszane w czasie kampanii uwagi i wnioski — przyjmą programy działania na okres do końca kadencji.

Przedmiotem oceny zebrań i konferencji partyjnych będą również sprawy społeczne, walka ze spekulacją, marnotrawstwem, kumoterstwem. Na pierwszym miejscu znajdują się problemy reaktywowania samorządów pracowniczych, ich społeczny i konstytucyjny charakter w demokracji socjalistycznej oraz doniosłość polityczna. Ważnym tematem zebrań i konferencji sprawozdawczych będzie ocena wdrażania reformy gospodarczej w przedsiębiorstwach.

NAJBARDZIEJ DRAŻLIWA społecznie sprawa — budownictwo mieszkaniowe — było tematem plenarnego posiedzenia KM PZPR w Łomży. Z informacji przedłożonych uczestnikom obrad wynika, że inwestorzy i wykonawcy nie nadążają z realizacją planu. Zamiast 467 mieszkań — LPB oddało 176. Pozostałe zamierza przekazać do końca roku. Ze 180 mieszkań, które obiecał wykonawca, Wojewódzki Związek Spółdzielczości Mieszkaniowej nie otrzymał do tej pory ani jednego. Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa odda 120 nowych lokali, ale pod znakiem zapytania są 24 domki jednorodzinne. Na mieszkania kwaterekowe oczekuje 400 rodzin, ale prezydent Łomży nie może wykupić nawet 63 lokali, tych najbardziej potrzebnych, bowiem Spółdzielnia deklaruje sprzedaż tylko z ponadplanowo wybudowanych. A na planowe czeka tymczasem — 7 i więcej lat — 8 tysięcy członków.

Przeciwdziałania: jeszcze przed plenarnymi obradami egzekutywa KM zobowiązała zakładowe organizacje partyjne przedsięwzięć, które nie wykonały planu, do analizy opóźnień i nadrobienia zaległości. „Fadom” może zwiększyć, tak wynika z obliczeń, produkcję o 400 mieszkań, a Poligonowa Wytwórnia Płyt — dostarczyć więcej materiałów. Uruchomienie budownictwa przyzakładowego, patronackiego, jednorodzinne zwiększy szanse na uzyskanie własnych mieszkań.

Dyskusja: Jerzy Newelski, prezydent Łomży: — Ponad 200 mieszkań przydzielono specjalistom. Oddajmy tyle mieszkań łomżynianom. Przecież jest to niecałe 30 proc. budowlanego planu mieszkaniowego.

Grzegorz Szozda, prezes WZSM: — Gdyby LPB powiedziało, że jest w stanie wybudować o 50 proc. mieszkań więcej, byłibyśmy gotowi już dziś uwzględnić prośbę prezydenta.

Tadeusz Słojewski, dyrektor LPB: — Czas i materiały determinują wykonawstwo. Mogę tyle obiecać, ile jesteśmy w stanie wykonać. Nadciąga zima, musimy w tych miesiącach mieć zapewnioną pracę dla załogi wewnątrz budynków.

W uchwale Plenum zwraca uwagę na przyspieszenie tempa budownictwa blokowego i jednorodzinne oraz konieczność remontów starej substancji mieszkaniowej, która stanowi ogromną rezerwę lokalową.

CZYM SIĘ ZAJMUJĄ Obywatelskie Komitety Odrodzenia Narodowego? POM Smolniki w gminie Stawiski pomaga wdrażać reformę gospodarczą, dba o dobrą organizację pracy, przestrzeganie przepisów bhp; w Grabowie działają komisje do spraw rolnictwa, handlu, usług i zaopatrzenia, do spraw społecznych, kultury i oświaty (szefowie komisji, wspólnie z przewodniczącym zarządu, tworzą prezydium OKON-u); w Goniądzu (w mieście, pięciu wsiach i zakładach pracy) powołano komisje problemowe: do spraw społeczno-politycznych, budownictwa i gospodarki komunalnej, rolnictwa i gospodarki żywnościowej, oświaty, wychowania, kultury, ochrony zdrowia, wniosków, skarg i kontroli społecznej; dzięki interwencji OKON-u rozpoczęto w mieście prace przy budowie wodociągu oraz przygotowania do wznoszenia lecznicy zwierząt.

W ŁOMŻYŃSKIM POWOŁANO 7 brygad antyspekulacyjnych, w tym trzy wojewódzkie i cztery rejonowe: w Grajewie, Kolnie, Wysokiem Mazowieckiem i Zambrowie. Będą zwalczać spekulację, niegospodarność i marnotrawstwo. W ich skład wchodzi: przedstawiciele Wojska Polskiego, MO, Państwowej Inspekcji Handlowej, młodzież, robotników i rolników.

WKRÓTCE TRAFI do rąk nauczycieli „Biuletyn Informacyjny Wydziału Propagandy i Informacji KW PZPR”, zawierający: omówienie głównych problemów oświaty, propozycje tematów do szkolenia ideologicznego, zadania dla szkółnych POP i wskazówki do pracy ich egzekutyw, wykaz najważniejszych materiałów źródłowych do prowadzenia lekcji wychowania obywatelskiego i historii.

NA MIEJSCA w Domu Opieki Społecznej oczekuje w województwie 300 mieszkańców; 220 z nich korzysta z pomieszczeń szpitalnych. Nie wyszedł projekt przeznaczenia na ten cel ośrodka szkoleniowego Wojewódzkiego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych w Czatorii. Właściciel obiektu argumentował, iż tylko o jeden taki ośrodek w województwie i nie może się go pozbyć.

ZARZĄD WOJEWÓDZKI Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej dokonało oceny swej dotychczasowej działalności. Plenum stwierdziło osłabienie tempa pracy wielu kół. Rozbudowę szeregu organizacji w środowisku robotniczym uznało za jedno z najważniejszych zadań w najbliższym okresie.

PREZYDIUM ZARZĄDU WOJEWÓDZKIEGO Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierowania omówiło założenia programowe Turnieju Młodych Mistrzów Organizacji, przygotowywanego wspólnie z ZSMP.

TRWA (od 5 do 9 października br.) szkolenie sekretarzy gminnych oraz pracowników aparatu partyjnego. Tematy: sytuacja spo-

leczno-polityczna w kraju i zadania z niej wynikające do pracy partyjnej, walka ideologiczna, idea porozumienia narodowego, kampania sprawozdawcza w POP i KG.

ZWIĄZEK MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ systematycznie rozszerza swoją działalność w Łomżyńskim. Skupia już 2100 członków zrzeszonych w 76 kołach, z czego 45 działa na wsi. Z inicjatywy ZW ZMW i WOPR-u rozpoczyna się powszechne dokształcanie młodych w oparciu o program technikum i zasadniczej szkoły rolniczej.

Z DYSKUSJI na naradzie sekretarzy KG PZPR: kilkumiesięczna susza opóźniła podorywki i orkę jesienną; zmniejszyło się zainteresowanie rolników wysiewem wapna (z 70 tysięcy ton w latach ubiegłych do 17) oraz spadło (o prawie 30 proc.) zużycie nawozów; plony okopowych są mniejsze niż w latach ubiegłych; rolnicy indywidualni zwlekają ze sprzedażą zboża — obiecują zwiększenie dostaw po omlotach; dostawcy mleka uważają — wprowadzone przez Wojewódzki Związek Spółdzielni Mleczarskich — nowe normy skupowe za zamach na ich kieszeń.

POWRÓCIŁI Z GIEŁD towarowych wysłannicy łomżyńskiego handlu. Elżbieta Deptuła z WPHW zapowiada poprawę zaopatrzenia w konfekcję, bieliznę pościelową, koldry i galanterię kaletniczą. Józef Żaczek z WZSR-u obiecuje poprawę zaopatrzenia wiejskich sklepów w meble, pieczywo cukiernicze, soki owocowo-warzywne, szampany i środki higieniczne.

NIEPOKOJĄCO ZMNIEJSZA SIĘ w województwie liczba loch, co grozi załamaniem się hodowli trzody. Spadek ów wynosi: w Wasoszu i Turzku — po 38 proc., w Rutkach — 32, Zambrowie — 27, Jedwabnem i Nurze — po 25.

pytanie drażliwe

— W jaki sposób młode małżeństwa realizują przydzielane im kredyty?

BARBARA TOMASZEK, księgowa Oddziału PKO w Łomży: — Spadło zainteresowanie młodych naszymi pożyczkami. Ostatnio nawet przytrafił się taki przypadek, że człowiek, pobrawszy od nas pieniądze, za kilka dni przyniósł je z powrotem. Uzasadnił to następująco: „Nie ma tego, co chciałem kupić, każdy drobiazg jest bardzo drogi, a strach trzymać tyle banknotów. Pójdą choćby na życie, a potem spłacić nie będzie z czego”. Od początku tego roku skorzystało z kredytów PKO 760 młodych małżeństw. Brali po 75—150 tysięcy. teraz chętnych jest znacznie mniej, a za podjęte pieniądze kupują rzeczy, zasłony, firany, krzesła i co się da. Zapisują się w kolejki po lodówki, pralki i inne artykuły niezbędne do samodzielnego życia.

LONGIN BOJARUNIEC, sekretarz ZW ZSMP: — Sytuacja jest taka, jaka jest. Ludzie biorą kredyty, mają dużo papierków, tylko niewiele mogą za nie kupić. Próbowaliśmy wychodzić ich potrzebom naprzeciw, bo kto ma im pomóc, jeśli nie organizacja młodzieżowa. Na bazie dawnego Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych uruchomiliśmy Młodzieżową Spółdzielnię Pracy Nakładczą. Na początek uszyliśmy 150 kompletów pościeli. Będzie więcej. Myślimy nie tylko o tym, by młode małżeństwa miały w czym, ale i gdzie spać. Pokonujemy ostatnie trudności do uruchomienia produkcji mebli. Podpisaliśmy też umowę z Łomżyńską Spółdzielnią Mieszkaniową na budowę kolejnych dwóch budynków patronackich dla 80 rodzin.

wieści gminne

JEDWABNE. Mieszkaniec wsi Olszewo Góra otrzymał od naczelnika miasta i gminy decyzję zabraniającą mu odprowadzania wody ze źródła do strumienia przez pole sąsiada. Na razie więc rolnik gromadzi wodę w piwnicy.

◆ Rolnicy z Karwowa postanowili wyremontować świetlicę w remizie strażackiej. Na ten cel zebrali 75 tysięcy złotych i zapowiedzieli, że nie pożałują rąk przy remoncie, jeśli naczelnik wspomógł ich cementem i innymi materiałami. Naczelnik odmówił jednak pomocy. Coż, scenariusz trzeba odwrócić: sprowadzić cement na koszt wsi, wyremontować świetlicę i prosić naczelnika o przecięcie wstęgi.

◆ Oto kolejny przykład z serii: „Pan kierowca i jego prywatny autobus”. Jeśli nie kupiłeś biletu w kiosku, bo był zamknięty, albo nie wiesz, że w Jedwabnem bilety należy kupować w kiosku, to pan kierowca wygoni cię z autobusu. Bądź mu dozwonnie wdzięczny, jeśli poczeka, kiedy ty, pięćdziesięcioletni człowiek, pobeżysz przez park do kiosku i wrócisz z biletem.

◆ Skończył się żniwa, zapewne dlatego GS w Jedwabnem nieregularnie zaopatruje w napoje sklep spożywczy w Przytułach. Przyszedł chyba czas zaprzestania rozpieszczania Przytuł, którym zamarzyła się gmina samodzielną.

STAWISKI. Idea zastąpienia strzech niepalnym pokryciem nie jest może romantyczna, ale praktyczna. Trudno ją jednak zrealizować. Jedynym dostępnym — acz kruchym — materiałem jest eternit, którego dostawy są niewielkie; z ostatniej jego dostawy z Małkini blisko 800 płyt (na 2700) stłukło się w transporcie.

◆ Wlecie się budowa bloku spółdzielczego. Jednym z powodów jest niedowład organizacyjny. Teraz np. nie wiadomo, kto powinien otynkować budynek. Spółdzielnia czy przyszli mieszkańcy. Zima idzie, namysł trwa.

◆ Właściciel prywatnego sklepu owocowo-warzywnego w Stawiskach dyktuje ceny wyższe od najwyższych na miejscowym targu. Tłumaczy to tym, że tylko w ten sposób opłaca mu się otwierać sklep. Może niedługo — z braku klientów — nie będzie musiał się aż tak trudzić.

ZBÓJNA. Jasniej będzie na ulicy w Zbojnej — elektrycy z Białogostku przebudowują linię energetyczną. Problem w tym, jak piec chleb i zapewnić funkcjonowanie zlewni mleka przez najbliższe dwa tygodnie, kiedy elektryczność zostanie wyłączona. GS zapowiedział dostawy chleba z Nowogrodu; mleczarze nie podjęli jeszcze decyzji. Szkoda, że na ten okres nie można wysłać krów na urlop.

◆ Melioracja uroczyska Łokieć znajduje się ciągle na etapie podchodów. Ostatnie miały miejsce w czasie wizyty w gminie wojewody i komisarza wojakowego. Władze gminne wykorzystają ją do przypomnienia, że melioracja obiecana jest od 20 lat. Zbojna jest też ostatnią gminą w województwie, która nie posiada lecznicy zwierząt (jeśli nie liczyć prywatnego i ciemnego pomieszczenia, w którym pracują weterynarze).

◆ Wybory kandydatów na ławników ludowych i członków kolegium stały się okazją do przypomnienia rolnikom, że ich obowiązkiem jest (mimo niedostatku środków produkcji rolnej) dostarczanie ziarna na chleb. Plan skupu przydzielony gminie wynosi 800 ton ziarna, a do końca września wpłynęło go zaledwie ton 15.

◆ Na pytanie, co w gminie denerwuje najbardziej — można usłyszeć: to, że płaci się ludziom za bezczynność, np. pracownikowi Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych.

NOWOGROD. Trwa budowa pieca do wypalania cegły w prywatnej cegielni w Mątewicy. Pierwsza cegła zostanie wyprodukowana prawdopodobnie w listopadzie tego roku.

◆ Niewesoła jest sytuacja w gminie z materiałem do pokrycia dachów. Znosi się na to, że około 20 budynków zostanie na zimę nie pokrytych. Naczelnik zapowiada pielgrzymkę błagalną do producentów w Małkini i Bytomiu.

CIĄG DALSZY NA STR. 15

zdarzenia



myśl z atestem

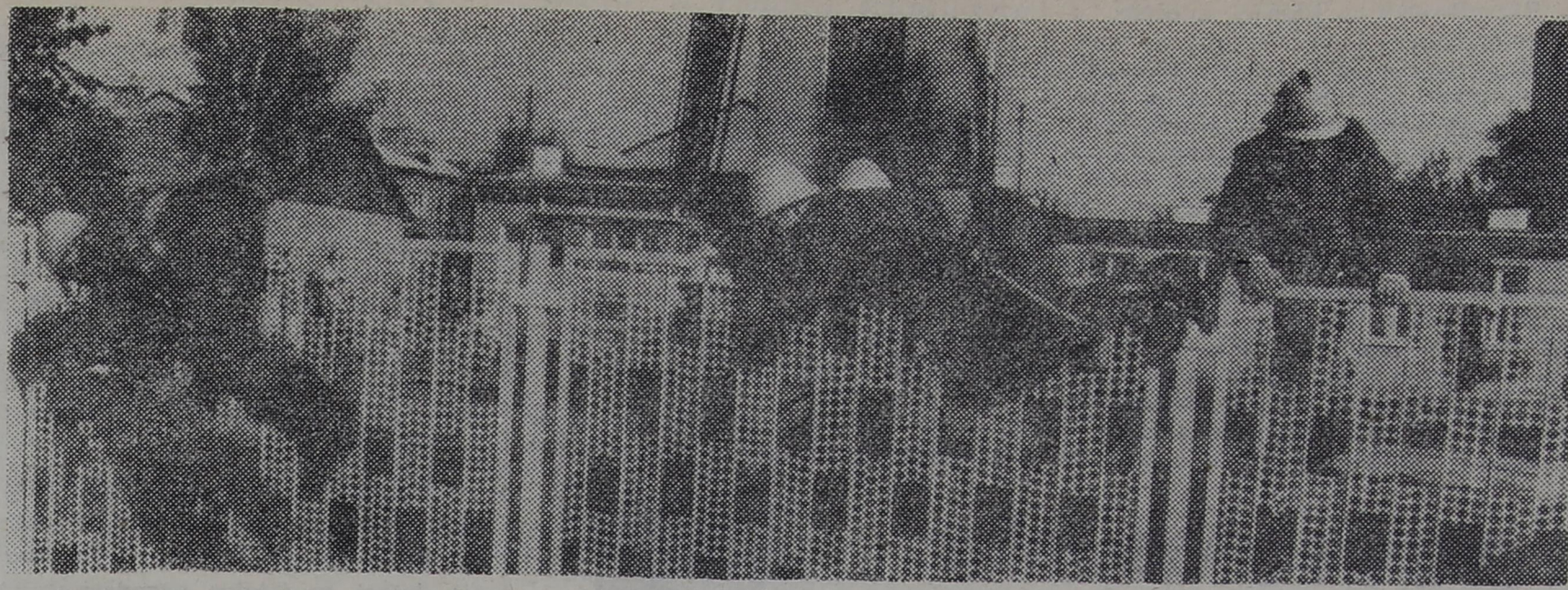
„Rozum najpełniej rozkwita pod strażą wolności, wolność — pod strażą rozumu”.

TADEUSZ KWIATKOWSKI

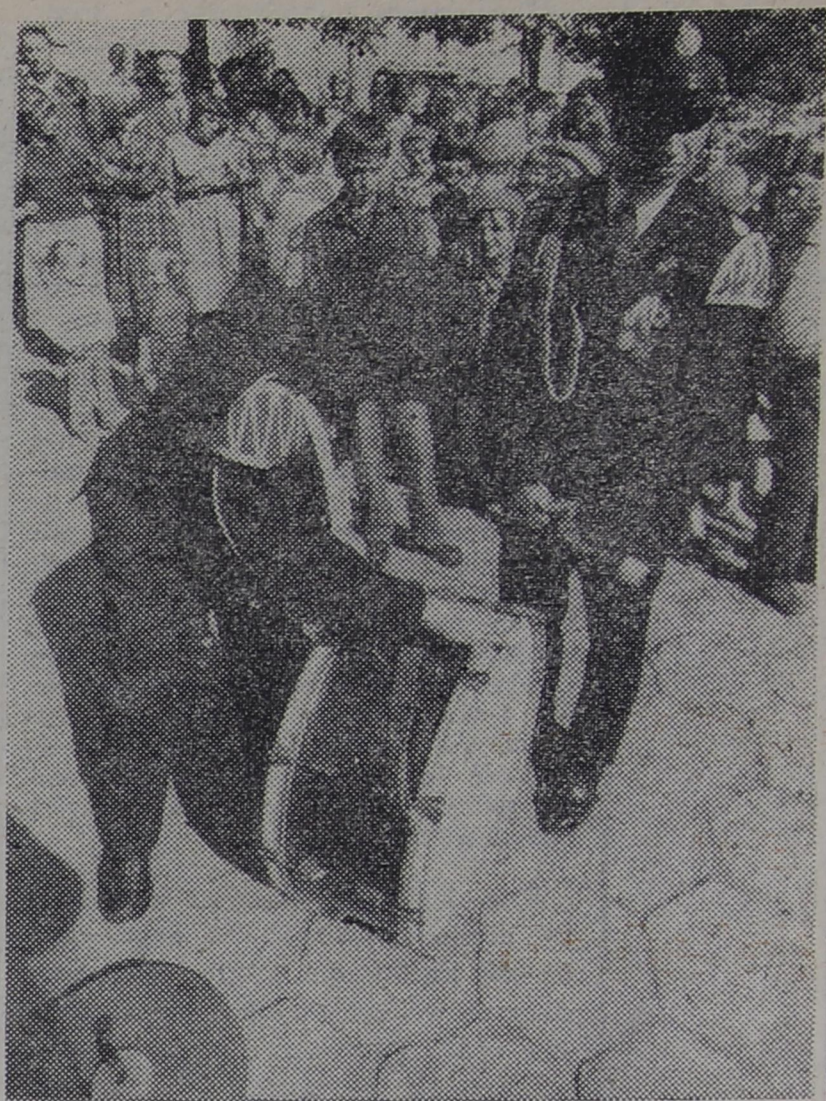
zdanie tygodnia

„Uległość obracała się w przeszłości przeciwko kolejnym próbom reform systemu zarządzania gospodarką”.

Jerzy Albrecht, były sekretarz KC PZPR
minister finansów i wiceprzewodniczący
Rady Państwa



huczne stulecie



Wiedzieliśmy, że Telewizja to potęga, ale żeby dla niej opóźnić o pół godziny rozpoczęcie uroczystości obchodów stulecia Ochotniczej Straży Pożarnej w Szczuczynie! Gdy się już zjawiała, przedefilowali przed nią — tudzież władzami centralnymi i wojewódzkimi — strażacy z Będkowa, Grajewo, Wąsosz i Szczuczyna. Wypinali, jak mogli, odznaczone piersi, ku zazdrości licznej gawiedzi. A orkiestra grała tak głośno, jak chyba nigdy dotąd. Tylko dzieciarnia miała uzasadnioną pretensję, bowiem piana, którą rozpryskiwali panowie sikawkowi, była niesłodka.

**tekst i zdjęcia
Gabora
Lörinczego**



Czy mam opowiedzieć o tym, jak eksmitowałem ciężarną kobietę? Jak jej wywaliłem z mieszkania wszystkie graty? Siedziała na łóżku z siekierą, spięta do ostatnich granic. „Nasobaczyłam sobie w życiu — powtarzała. — Panna z dzieckiem, którego nie powinien urodzić (miało rozszczepienie kręgosłupa), z drugim w drodze. Ja już muszę z sobą skończyć”. Czy mam tłumaczyć, jaką tragedią było dla mnie to, że musiałem tak postąpić, chociaż wiedziałem, że biję w zdrowie kobiety, a być może także w życie dziecka? Przepis potrafi zawiązać człowiekowi ręce do tego stopnia, że w obawie, by nie popełnić głupstwa, nie zdobędzie się na żadne rozwiązanie. Bo cóż to za rozwiązanie, gdy szuka się obejścia prawa? Tak, przyznaję się, załatwiłem tej kobiecie mieszkanie, ale tylko dlatego, że w końcu (po rozmowie ze mną) zdecydowała się opuścić lokal. Bez krzyków, gróźb. Bo prawo jest prawem, a człowiek ma sumienie...

Przychodzą do prezydenta w każdy poniedziałek: 40—50 osób, czyli 40—50 mniejszych lub większych dramatów, życiowych niepowodzeń. Nie mają mieszkań, gnieźdzą się w suterrenach, obrzydliwych, ciasnych norach, po kilka, a nawet kilkanaście osób w jednym pokoju. Oczekują zrozumienia, współczucia, a przede wszystkim — natychmiastowego spełnienia ich potrzeb. I trudno się im dziwić. Tylko że takich osób w samej Łomży jest kilka tysięcy, a prezydent dawno już rozdysonował całą swoją skromną (roczną) pulę mieszkań. Reagują bardzo różnie: milczącym zrezygnowaniem, nachalną nieustępliwością, ordynarnością, a nawet groźbami. W poniedziałki należy uzbrajać się w szczególną cierpliwość, w żadnym przypadku nie można „wypaść z fasonu”. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że ci ludzie mają moralne prawo do rozgoryczenia, żalu, złości i lez.

Zofia D. rozeszła się z mężem 3,5 roku temu. Po prostu wyszła kiedyś z domu i już nie wróciła. Dziecko miało wtedy cztery miesiące. Sporo czasu tułała się po klatkach schodowych, nim znalazła mieszkanie. Nie na długo jednak. Po roku dostała wypowiedzenie ze względu na pijackie libacje i awantury, które urządzał jej eks-mąż. Znalazła inne, ale i tam sobie nie pomieszkała, gdyż właściciele przeznaczili je dla swoich dorastających dzieci. Od maja mieszka przy Spokojnej. Do prezydenta przyszła ponownie, bo za niecałe dwa tygodnie opuści i ten skromny pokój; taka była umowa. Zarabia około sześciu tysięcy złotych. Od męża nie dostaje żadnych alimentów. Nie płacił nigdy, teraz siedzi w więzieniu. Wynajęcie mieszkania jest coraz droższe. Nie stać jej na wydanie trzech tysięcy złotych miesięcznie, a zakład, w którym pracuje od sześciu lat, nie jest — podobno — w stanie jej pomóc. W spółdzielni mieszkaniowej nie ma szans: nie wylegitymuje się odpowiednim stażem członkowskim. Prezydent obiecuje tylko tyle, że jej kandydatura będzie rozpatrywana przez komisję. Być może w przyszłym roku... A na razie nikt nie ma prawa wyrzucić jej na ulicę. Teoretycznie, bo przecież właściciele mieszkań też kierują się swoimi racjami. Nie chciałaby odwodzić się im w ten sam sposób. Nie chciałaby też, by jej mała córeczka wracała z podwórka z oczami zasypianymi piachem. Dzieci potrafią być okrutne; nie tolerują obcych, słabych i niepotrzebnych.

— Eksmisje są i muszą być, dopóki zdarzać się będą zajęcia lokali. A teraz, niestety, zaczyna to być już plagą. Powinniśmy reagować na to w sposób bezwzględny, tzn., oprócz eksmisji, wpisywać dane osoby na cenzurowane, zamykać im możliwość otrzymywania mieszkań z puli Urzędu Miasta. Ale człowiek jest człowiekiem i od czasu do czasu boleśnie uświadamia sobie, że to życie zmusza ich do takiej samowoli.

Eksmitowałem kiedyś kobietę z pięciorgiem dzieci. Jakoś nie mogłem wtedy zasnąć. Gdzieś koło północy wygranolilem się z łóżka i pojechałem zobaczyć, jak wygląda to miejsce, w którym zmuszona była mieszkać. Zostałem na wpół rozwalony domek, bez okien, drzwi. W drodze powrotnej zobaczyłem jakiś samochód z filodendronem. Zatrzymałem go. Pytam: „Co robicie?” „Wyeksmitowaliśmy i wieziemy na poprzednie miejsce”. „Kto wam każe?” „Prezydent”. „Powiedzcie mi, że jest głupi, i weźcie kobietę do miasta. Niech przenocuje choćby w piwnicy. Przynajmniej deszcz nie

wykorzysta ten fakt w „bojach” z prezydentem. Gotowa jest nawet sprowadzić specjalną komisję, tylko co to da? Najwyżej straci gaz. Mogłaby się przenieść, i to już w niedługim czasie, do M-3 w osiedlu Poludnie, ale to dla niej za daleko. Twierdzi, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Nie przyzna się, choć prezydent i tak wie, że chodzi jej głównie o odległość do kościoła. Odczłodzi obrażona, zaciętrzewiona. Grozi komisarzem, Warszawą.

— Do ludzi nie dociera, że ja w większości przypadków mogę służyć

poczekalnia dramatów



będzie się jej lał na głowę.” W rezultacie musiałem jej załatwić jakiś kąt.

Większość tych twarzy prezydent zna na pamięć. Przychodzą co tydzień, regularnie. Liczą na lepszy humor, chwilę słabości... Z reguły nie zdają sobie sprawy z tego, jak ograniczone są możliwości ojca miasta. Jeżeli nawet nie mówią mu tego prosto w oczy, to i tak swoje wiedzą: „Prezydent załatwia tylko wybranym. Żeby chociaż wiedzieć, w jaki sposób najskuteczniej zaskarbić sobie jego łaskę?” Znają tysiące „szachujących” przykładów, choćby z własnej klatki, zza ścian: ktoś dostaje mieszkanie, choć mu się — ich zdaniem — nie należy, ktoś inny mieszka samotnie w M-iluś, a powinien w kawalerce. Wszystkie wyjaśnienia (że to np. sprawa spółdzielni, że mieszkanie to dorobek życia, i jeżeli kogoś stać na to, może płacić za nadmetraż) przyjmują z uśmiechem niedowierzania, często kwitując pogardliwym, znaczącym wzruszeniem ramion. Za tydzień przyjdą znowu.

Danuta P. mieszka z synową już od piętnastu lat w tej samej kawalerce. Obiady gotują na kuchence gazowej, wstawionej do łazienki. Przepisy zabraniają tego, ale czy istnieje inna możliwość pomieszczenia się na tych kilkunastu metrach kwadratowych? Danuta P. stara się

tylko poradą. A ich nie będzie satysfakcjonować to, co mówię, skoro zdają sobie sprawę z tego, że prawdziwe mieszkanie otrzymają za 8—9 lat. Takich najbardziej potrzebujących mam w tej chwili około czterystu. Ale najgorsze nawet warunki nie oznaczają jeszcze, że nie może być gorszych. Całe to moje urzędowanie opiera się na podejmowaniu decyzji alternatywnych: temu lub tamtemu. Myślę, że skoro już stawia się kogoś na stanowisku, to upoważnia się go do dokonywania wyboru, a więc tym samym powinno się wierzyć, że, postępując zgodnie z własnym sumieniem i przeplesem, wybierze rację najsluszniejszą.

Zdarzyło mi się kiedyś, że wracając w nocy do domu poślknąłem się o „coś” na klatce schodowej. Tym „czymś” okazała się siedemnastoletnia dziewczyna z, może dwutygodniowym, dzieckiem. Spała wciśnięta w kąt korytarza. Na kaloryferze suszyły się nie wyprane pieluchy. Była jeszcze uczennicą. Po urodzeniu dziecka została nagle zupełnie samotna i bezdomna. Nie miała prawa powrotu na stację, a ojciec zapowiedział, że „Jeżeli ta k... przekroczy próg domu, urwie jej leń”. Przez trzy dni spała za stołową, potem waleśała się po mieście, „wycierając” wszystkie przygodne klatki schodowe. Cóż było robić? Załatwiłem jej łóżek, pracę i kawalek kąta na strychu, który wylżyła sobie gazetami. Cieszyła się, że ma wreszcie dach nad głową.

Za każdym razem musi powtarzać to samo: nie ma już mieszkań, nie w tym roku. Gdyby chociaż mógł mieć własne budownictwo, nie liczyć wyłącznie na to, co skapnie mu z poszczególnych spółdzielni lub zwolni się z tzw. odysków... Chyba najwięcej kłopotów sprawia prezydentowi fakt, że ludzie nie potrafią właściwie ocenić zakresu jego możliwości. Nie wiedzą lub nie chcą wiedzieć, że w większości przypadków załatwić sprawę może tylko spółdzielnia; może tylko teoretycznie, bo tam decydują nie warunki, lecz czas odczekiwania.

Takich, jak małżeństwo G., przychodzi do prezydenta bardzo dużo. Są kilka lat po ślubie, mają dwójkę dzieci w wieku przedszkolnym, zarabiają poniżej przeciętnej (po około 2100 złotych na osobę). Do spółdzielni nie należą, nie stać ich na dokonanie wpłaty. Wynajmują bardzo drogą, jak na ich możliwości stancję. Od prezydenta, tak jak i wszyscy, oczekują cudu. I — jak większość — będą musieli odejść z niczym. No, powiedzmy, prawie z niczym. W tym przypadku przepisy pozwalają na pokrycie przez Urząd Miasta osiemdziesięciu procent wpłaty na mieszkanie spółdzielcze. Reszta jednak zależy już tylko i wyłącznie od spółdzielni. Kiedy staną się jej członkami będą mieli prawo wystąpić o przydzielenie pomieszczenia zastępczego na okres wyczekiwania.

— Kiedyś zrobiłem taki eksperyment: zebrałem na sali chyba ze dwadzieścia osób, które przyszły ze skargami, i kazałem im spowiadać się z warunków mieszkaniowych. Nastąpiła swojego rodzaju ekspiacja i samoocena potrzeb. Dwadzieścia osób uznało, że w tym składzie nie ma szans, i wyszło. Ludzie wolą rozmowy indywidualne, bez możliwości dokonywania porównań. Wtedy ich problemy są najważniejsze, wszystko inne przestaje mieć znaczenie. Wiem, że każdemu z nich należy się mieszkanie, ale chciałbym, żeby i oni wiedzieli, jakie mają niewielkie szanse. Najbardziej przykro jest mi jednak z innego powodu. Niestety, potwierdza się teza, że mieszkanie można sobie wychodzić, wykrzyczeć, wyinterweniować. Człowiek jest mądry po szkodzi. Teraz wiem, że pięćdziesiąt procent tych, którzy otrzymali ode mnie mieszkania, powinni byli jeszcze poczekać.

Nie wierzę już w sprawiedliwe podziały dokonywane przez jednego człowieka. I może dlatego tak bardzo cieszę się z faktu utworzenia komisji. Jest ona bardziej odporna na zewnętrzne naciski. Ludzie chwytają się wszystkich sposobów: interweniują przez Radio, Telewizję, prasę, instytucje, instancje, organa. Przychodzą potem pisma gładkie, uprzejme, często w formie zapytań; problem w tym, kto pyta. Może to jest asekurancja, ale takie moralne wsparcie grupy ludzi bardzo człowieka podbudowuje. No i, bądź co bądź, jest to już wtedy decyzja kolektywna.

Do sekretariatu prezydenta wchodzi się przez mały, zastawiony fotelami, korytarzyk; to poczekalnia. W każdy poniedziałek po dwunastej zastać tu można kilkanaście osób. Siedzą w milczeniu lub rozmawiają. Nie słowa jednak świadczą za nich ale twarze. Są zmęczone. Większość tych ludzi przeżywa codziennie gehennę. Część z nich skazała się na nią dobrowolnie. Przyszli do miasta, gdyż wydawało im się, że tutaj łatwiej będzie rzucić z siebie chociaż część odpowiedzialności za własne życie. Przyjmowali każde warunki, każdą kajutę sublokatorską — w walących się ruderach, w wilgoci, wśród myszy, szczurów, robactwa. Przede wszystkim chcieli mieć zameldowanie, reszta była dla nich nieważna, bo niejako miało przysiąc sama. Teraz stawiają warunki. Nie wyniosą się z budynków przeznaczonych do remontu czy rozbioru, zanim prezydent nie da im mieszkań. Nie ustąpią, bo jeżeli nawet znienawidzili gorycz upodlenia, najczęściej nie mają już gdzie wrócić.

ALEKSANDER
WRONISZEWSKI
Fot. WOJCIECH SURAWSKI

K.J.: — Przyznam, że nie zastanawiałem się nad tym. To prawda, że moje prośby, polecenia, wykonywane są szybko i prawidłowo. Być może ta sama sprawa załatwiana przez tego samego człowieka, lecz komu innemu, nie byłaby tak szybko rozwiązana.

„K.”: — Jest Pan w Łomży dwa miesiące. Co uderzało w pierwszym kontakcie z województwem, jak widzi je pan teraz?

K.J.: — Rzeczywiście dwa miesiące temu zobaczyłem Łomżę po raz pierwszy, ale nie był to wcale przyjazd w nieznaną. Pochodzę ze wsi siedleckiej, a więc regionu o specyfice zbliżonej do łomżyńskiego. Poza tym moi poprzednicy, płk. Filip Majewski i płk. Lucjan Zapała, przekazali mi bardzo dokładne charakterystyki: administracji, władz politycznych, zakładów pracy, spółdzielczości mieszkaniowej, instytucji i stosunków w nich panujących. Ba, nie tylko instytucji, ale i poszczególnych osób. Wiedziałem, kto najszybciej może mi pomóc, z kim otwarcie i szczerze mogę porozmawiać. Wiedziałem, jaki jest wojewoda; była to bardzo pozytywna opinia i moje odczucia całkowicie się z nią pokrywają. Po dwóch miesiącach ten „obraz z pamięci” bardzo się ukonkretnił. Nie tylko już wiem o problemach województwa, ale nimi żyję i w miarę możliwości uczestniczę w ich rozwiązywaniu.

„K.”: — Które z nich, ze społecznego punktu widzenia, są najważniejsze?

K.J.: — Pierwszy problem to rolnictwo: zaopatrzenie w środki produkcji i jakość obsługi przez SKR-y, GS-y, POM-y. Jeśli chodzi o maszyny, nawozy, środki ochrony, są one przydzielane centralnie i w tej mierze — poza jak najszybszym podjęciem produkcji najprostszymi urządzeniami i narzędziami w istniejących zakładach — na szczeblu województwa zdziała się niewiele. Drgnęło ku lepszemu w działaniu SKR-ów i GS-ów. Ale — podkreślam — nie ma tu jeszcze stanu zadowalającego. Denerwuje zwłaszcza brak dbałości o sprzęt, niedopuszczalne często marnotrawstwo.

Bardzo krytyczna sytuacja jest w służbie zdrowia. I, co gorsze, nie widzę realnych perspektyw poprawy. Jeśli w takim tempie, jak dotychczas, budować się będzie wojewódzki szpital zespólny, Łomża i w 2000 roku szpitala mieć nie będzie. Sporządziłem zresztą w tej sprawie sprawozdanie pełnomocnikowi przy Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej. Województwo nie ma do dziś domu opieki społecznej. Na szczęście niedawno zapadły decyzje, iż dom taki zostanie utworzony.

Ostatnio szerzej przyjrzelśmy się wojewódzkiej oświacie. Zarówno płk. Bolesław Gołębiowski, mjr Kazimierz Niziński, jak i por. Andrzej Grot, którzy się tym zajmowali, to bardzo dobrzy fachowcy w tej dziedzinie. Mnie zaś sprawa leży na sercu szczególnie: przed studiami oficerskimi ukończyłem liceum pedagogiczne, od 21 lat jestem wykładowcą w Akademii Sztapu Generalnego, żona — nauczycielka, a kiedy moje dzieci chodziły do szkoły, przez 12 lat pracowałem w Komitecie Rodzicielskim. Poza tym — jeśli tak wiele dyskutuje się obecnie o młodym pokoleniu, gdy poświęca się jego problemom plenum — nie może to wszystko pozostać na papierze. Młodzież musi mieć godziwe warunki bytu i nauki. Tymczasem zbadaliśmy niedawno około 150 placówek oświatowych pod kątem przygotowania do nowego roku szkolnego i obraz wyjął się fatalny. Smutne to tym bardziej, że większość niedociągnięć i nieprawidłowości nie wynika z obiektywnej niemożności, lecz tkwi w ludziach. Doskonałym przykładem jest sytuacja, jaką zaistniała w internacie Liceum Medycznego w Łomży: powybijane od dwóch lat szyby, brak ciepłej wody, nie ma gdzie przechowywać produktów żywnościowych; na 250 dziewcząt nie ma ani jednego prysznica. W kilka dni po kontroli znalazły się szyby, prysznice, łodówki, zatrudniono higienistkę.

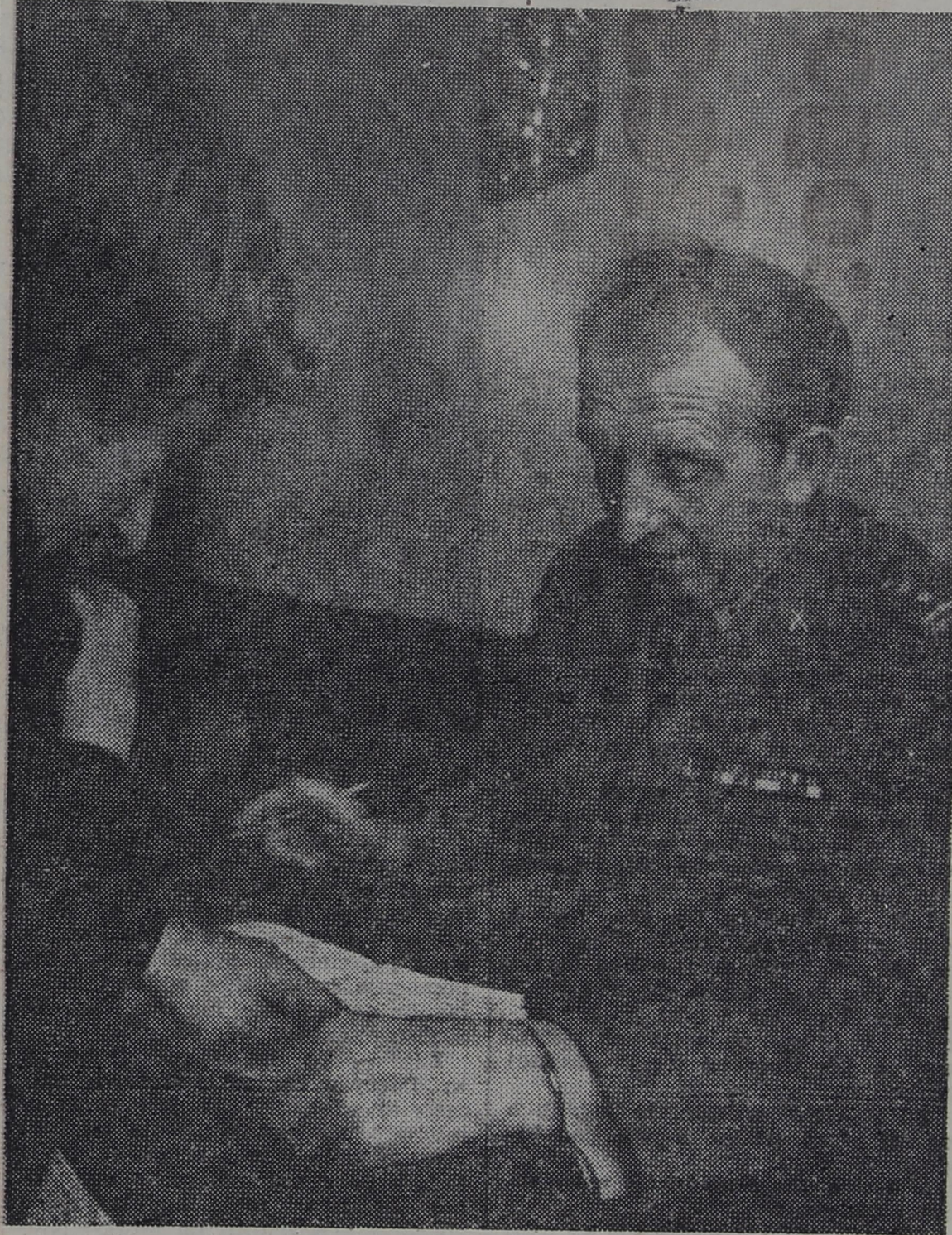
„K.”: — Skoro już jesteśmy przy ciemniejszej barwie wojewódzkich rzeczywistości, chcielibyśmy wiedzieć, co Pana najbardziej w łomżyńskim denerwuje, a co ludzi, którzy do „komisarzy” przychodzą?

K.J.: — Tego, co denerwuje mnie, a co mieszkańców, nie da się chyba oddzielić. Zbyt mocno już tkwią w ich problemach i troskach. Pierwszą taką drażliwą kwestią jest sposób załatwiania petenta. Premier na ostatnim spotkaniu powiedział: „Stosunek do obywatela, do skarg — znane są skandaliczne przypadki. Obywatel musi mieć pewność, że jego sprawa zostanie obiektywnie i sprawiedliwie rozpatrzone”. A w tym zakresie w łomżyńskim również nie jest świetlanie. Dotyczy to zwłaszcza pracy spółdzielni mieszkaniowych: skarg ludności jest tu najwięcej i chodzi

o powiązań, układów, układzików: żona prezesa pracuje u dyrektora, żona dyrektora u prezesa. I tak dalej. Nie sprzyja to rzetelnej ocenie pracy i optymalnemu wykorzystaniu ludzi z kwalifikacjami. Mam taki przykład z Jedwabnego — młoda kobieta, po studiach rolniczych, pracuje w służbie rolnej. Wcale nie jako kierowniczka. Mogłaby przydać się (jest fachowcem) w tamtejszym GS-ie, ale w nim miejsca dla „obcego” nie ma.

Rolników bulwersuje ostatnio „polska norma”, wprowadzona przy skupie mleka. Rozumiem dążenie do poprawy jakości, ale rygory „normy” są tak ostre, że nie jestem pewien, czy obecnie — przy ciągłych brakach żywności — był najszybszy okres na jej wprowadzenie. Jeśli czekało się z tym tyle lat, może jeszcze należało trochę poczekać?

misja



najczęściej o sposób reagowania na prośby lub zażalenia przez kierownictwo spółdzielni. Notujemy w tym względzie przypadki niedopuszczalne. Nadal sporo otrzymujemy skarg na pracę urzędów gminnych, choć trzeba powiedzieć, że nastąpiła tu znaczna poprawa. Kolejna denerwująca sprawa to niedbałość, brak odpowiedzialności i rzetelności ludzi, którym powierzono istotne role społeczne. Niedawno wizytowałem masarnię w Jedwabnem. To, co tam zastałem, trudno opisać: trzy razy robiło mi się niedobrze. Tak było w sobotę. W poniedziałek panował tam już niemal idealny porządek. Czyli — nie żaden kryzys, trudności itp., ale po prostu nieodpowiedzialność granicząca z głupotą. Z podobnymi „kwiatkami” zetknąłem się także przy okazji kontroli piekarni.

Porusza mnie też każdy wyjazd poza Łomżę: gromady ludzi czekają na wylotowych ulicach, by wyostać się z miasta. My sami, dzięki dyrektorowi PKS-u, który wydał nam specjalne upoważnienie, podróżujemy autobusami bez przeszkód. Całemu społeczeństwu upoważnień przecież się nie wyda. Anegdotalnym paradoksem jest już fakt, że w mieście wojewódzkim urywa się nagle linia kolejowa.

Nie jest też łomżyńskie wolne

Na koniec nieco statystyki: od 17 kwietnia do 17 września przyjęliśmy 520 skarg od ludności. Z wojewódzkiego dystansu są to często sprawy błahe, drobne. Trzeba jednak pamiętać, iż mogą być bardzo bolesne dla środowiska, którego dotyczą, i że to one właśnie kształtują potoczną opinię o władzy. Dlatego też każda sprawa, która do nas trafia, załatwiana jest niemal od ręki. Petent widzi, że przy nim dzwoni do naczelnika, prezesa, często od razu zabieramy go do samochodu, jedziemy na miejsce, konfrontujemy. Bo człowiek trafiający do jakiegokolwiek urzędu musi być przekonany, że nikt nie chce się go tam jak najszybciej pozbyć.

„K.”: — Teoretycznie władza powinna być służebna wobec obywatela. Jak to wygląda u nas?

K.J.: — Aby władza mogła wypełnić swoją podstawową funkcję, musi znać potrzeby tych, którym służy. Obywatel musi być przekonany, że potrzeby będą zaspokojone lub że władza robi wszystko, by je zaspokoić. Władza powinna być silna, konsekwentna, skuteczna i sprawiedliwa. Nie będzie jednak silna, gdy nie spełni trzech dalszych warunków. Władza musi zdawać sobie sprawę, że istnieje dla ludzi, a nie sama dla siebie. Czy tak jest zawsze? Na pewno nie. Dotyczy to

szczególnie szczebla gminnego. Gdzie tkwią przyczyny? Części ich doszukiwać się można w niekompetencji, złych nawykach, które nie tak łatwo przełamać, w braku indywidualnej odpowiedzialności. Część natomiast upatrywałbym w znacznym ubezwłasnowolnieniu — w przeszłości — społecznych organów kontrolnych. Często wszelkie rady nadzorcze były fikcją. Wynikać to mogło z niewiary: i tak od mojego głosu nie nie zależy. Częściej jeszcze z nieumiejętności i niewiedzy ludzi, którzy w ich skład wchodzi. Jak najszybciej trzeba więc uporać się z tymi zjawiskami, do czego zresztą pilnie zmierza rząd. Świadczą o tym postępy prac legislacyjnych nad ustawami o samorządzie pracowniczym, terytorialnym, radach narodowych.

„K.”: — W odczuciu stałych mieszkańców powracających z wojewódzkich wojaży, w łomżyńskim jest gorzej niż gdziekolwiek. Czy Pan, obserwator autentycznie z zewnątrz, potwierdza tę opinię?

K.J.: — Odczucia „turystów” są bardzo powierzchowne. Owszem, są różnice na niekorzyść, ale pomiędzy województwami powstałymi w roku 1975 i starymi. Nie widzę ich natomiast między Ostrołką a Siedlcami, a Łomżą czy Suwałkami. Muszę powiedzieć, że przyjeżdżając do Łomży mile byłem zaskoczony tujszym handlem. Nie mówię o zaopatrzeniu (które gdzie indziej też nie jest lepsze), ale o jego funkcjonowaniu. Nie widzę tu, zwłaszcza w soboty i niedziele, takich kolejek, jak w Warszawie. Ostatnio WPHW ruszyło z inicjatywą wejścia na wieś jako konkurencja dla handlu geesowskiego. Może to przynieść zupełnie nieoczekiwane pozytywne efekty. W innych dziedzinach, poza komunikacją i służbą zdrowia, choć to żadne pocieszenie, też naprawdę nie jest gorzej.

„K.”: — Mówiliśmy głównie o problemach. Gdzie tkwi klucz do ich rozwiązania?

K.J.: — Nie wynika to z kurtuazji, ale muszę podkreślić, że Wojewódzki Komitet Obrony, władze województwa, a zwłaszcza wojewoda, naprawdę wiele robią, by podjąć najpilniejszym, najdrażliwszym społecznym potrzebom. Sporo jednak barier tkwi w sferze materialnej: brakach, niedoborach surowca, gotowych wyrobów. Niemniej większość tkwi w ludziach. Dla wielu obecny kryzys jest wygodnym parawanikiem, za którym usiłują ukryć nierzetelność i brak kompetencji. Dobrze w tej mierze zrobiłoby też przewietrzenie najróżniejszych układów i powiązań. Jedni powinni odejść, a ci, co chcą zostać, muszą zmienić mentalność i stosunek do własnych obowiązków. W zwalczaniu niedomagań administracyjnych, zaniedbań, marnotrawstwa, niewłaściwego stosunku do spraw ludzkich, wielką rolę odegrać może uzasadniona, zaopatrzona w argumenty nie do podważenia, krytyka prasowa. Tym bardziej że (jak obserwuję) bywa ona często skuteczna. Zwraca uwagę na istniejące zło, mobilizuje przez publiczne obnażenie do szybkiego likwidowania jego przejawów. działa — i to niezmiernie ważne — profilaktycznie. Reakcja na krytykę powinna zawsze dotyczyć meritum sprawy, a odpowiedzią nie tylko piśmienne „ustosunkowanie się”, ale informacja o usunięciu negatywnego zjawiska. Niestety, nie jest tak zawsze. Bywa, że krytykowany wybiera odwet.

„K.”: — Czy nie odczuwa Pan, że ludzie po obecności wojska w terenie spodziewali się jednak nieco więcej? Owszem, sprawy jednostkowe, indywidualne, nawet całe problemy, są rozwiązywane. Nie zostały jednak naruszone, niekiedy zmurszałe już, struktury zarządzania, kierowania, administrowania.

K.J.: — Być może ludzie rzeczywiście oczekiwali po wojsku więcej. My jednak nie zastępujemy administracji państwowej, rolą wojska nie jest tworzenie nowych struktur, przebudowywanie ich, tym bardziej że wszystkie organy do tego powołane i władne do uczynić — Sejm i rady narodowe — funkcjonują i pracują normalnie. I to właśnie w tym kierunku.

„K.”: — Dziękuję za rozmowę.

Fot. WOJCIECH SURAWSKI



O refleksjach na „spocznij”, spokojnej naturze łomżyńskich, lekkomyślności ludzkiej wygodnictwie kierowników i, niebezpiecznych zabawach — z por. Zbigniewem Puchalą i por. Ryszardem Radkowskim, pełniącymi funkcję zastępców komendanta Komendy Miejskiej MO w Łomży — rozmawia Danuta Wroniszewska

— X jest Dniem Milicjanta; będą akademie, życzenia, spotkania i kwiatki. A czego życzylibyście sami sobie?

ZBIGNIEW PUCHAŁA: — Chociaż raz popatrzeć na ważne problemy w pozycji „spocznij”.

— Spróbujmy. Ludzie oceniają Waszą pracę na co dzień. Gdyby milicjanci spojrzeli na obywateli od święta, jak by ich ocenili?

Z.P.: — Stwierdziłbym, że, poza wąskim marginesem, łomżyńscy są spokojnymi mieszkańcami.

— Nawet spokojnemu zdarzy się coś przeskrobać...

Z.P.: — Szczególnie „wypiszy”, co nie jest rzadkością. Żony, naszym zdaniem, zbyt pochopnie i za często informują nas o tym, że mężowi przestały się podobać meble, ich polowica i działki.



POR. ZBIGNIEW PUCHAŁA

— Czy milicjant może zakazać obywatelowi przestawiać meble, karcie dzieci?

RYSZARD RADKOWSKI: — Prawo nie przewiduje udziału ani roli funkcjonariusza MO w domowych sprzeczkach i awanturach. Kolidowałyby to ze sferą intymności życia rodzinnego.

Z.P.: — Przyjęto się jednak dzwonić po milicję jak po pogotowie od nieszczęść, bo z sufitu leci woda, sąsiad tupie, dzieciarnia na podwórku hałasuje... Musimy wtedy wyjaśnić, jak ludzie w danej sytuacji mają się zachować, np. w jaki sposób skierować sprawę do kolegium. Obywatele bardzo słabo znają przepisy prawne. Trudno mieć do nich o to żal czy pretensje, ale można się zdenerwować, gdy radiowóz jedzie na niepotrzebną interwencję, a w tym samym czasie ktoś naprawdę potrzebuje pomocy.

R.R.: — Innym, coraz częściej popełnianym, grzechem łomżyńskich jest jazda samochodem w stanie nietrzeźwym. Po kieliszku trzeba się wietrzyć, chodzić pieszko, a samochód odstawić; byle nie na trawnik!

— Czy macie wrażenie, że „szary” obywatel lubi „pana władzę”?

pogotowie od nieszczęść

Z.P.: — Owszem, gdy ten daruje mu mandat czy pomoże w nieszczęściu. Zazwyczaj jednak patrzy chyba trochę nieufnie, czasem fuka, gdy się go legitymuje, bo czuje się zapewne niesłusznie o coś podejrzany. Chcielibyśmy, żeby częściej patrzono na nas jak na normalnych ludzi, mających swe wady i zalety, czasem kłopoty rodzinne czy po prostu gorsze samopoczucie.

R.R.: — Mam nadzieję, że część ludzi ma do nas zaufanie, skoro coraz częściej skutecznie pomagają nam w wykrywaniu przestępstw, szczególnie przy włamaniach, napadach, próbach gwałtu.

— Takie postawy mogą budzić podziw w dobie, gdy na całym świecie ludzie stają się coraz bardziej obojętni lub lekliwi i niechętnie przeciwstawiają się przestępcom i chuliganom.

R.R.: — Niestety, i u nas można znaleźć takie przykłady. Niedawno, na ulicy Ściegiennego, babka otrzymała cios w głowę, a sprawca biegł przez pół miasta i nikt go nie zatrzymał. Innego dnia tłumek obserwował, jak tłuczono faceta. Żadnej reakcji.

Z.P.: — Stwierdzam, że jednak o naszej pracy trudno mówić „na luzie”.

— A co można powiedzieć o walce milicji z melinami?

R.R.: — Niemal wszystkie są nam dobrze znane. I tylko od ludzi z nich korzystających lub sąsiadów zależy, czy melina zostanie zlikwidowana, czy nie. Każdy jednak woli ponarżać nieoficjalnie, niż być świadkiem w sądzie, a przecież dopiero kilkakrotne interwencje i sprawy w kolegium mogą dać podstawę do eksmitowania kłopotliwych sąsiadów.

— Czyżby lansował pan hasło: „Pomóż sobie sam”?

R.R.: — W wielu przypadkach ludzie rzeczywiście mogą sami sobie najskuteczniej pomóc. Złapać drobnego kieszonkowca jest bardzo trudno, ale ustrzec się przed nim — o wiele prościej. Wystarczy lepiej pilnować swoich kieszeni, mocno ścisnąć w garści torebki, szczególnie w takich miejscach, jak dworzec PKS, ulice Buczka i Ściegiennego czy tłoczne kolejki.

Z.P.: — W przypadku włamań ludzie tracą mienie znacznie większej wartości i jeszcze energiczniej domagają się odnalezienia go. Ale często przed przybyciem milicjanta ładnie sprzątają mieszkanie, bezwiednie zacierając ślady. Tymczasem te ślady, ten bałagan, pomagają w prowadzeniu dochodzenia o wiele bardziej niż najbarwniejsze opowiadanie poszkodowanego.

R.R.: — Czasem poważni ludzie pakują się w przykre tarapaty przez własną nieostrożność. Kupują okazynie lub na targowicy towary pochodzące z kradzieży. Fakt ten stawia ich w sytuacji paserów. Trudno wtedy liczyć na dobry humor prokuratora...

— Poważne instytucje również niepoważnie traktują obowiązek dbania o mienie społeczne.



POR. RYSZARD RADKOWSKI

R.R.: — Dyrektorzy lub kierownicy nie omieszkują zgłosić faktu kradzieży suszarki do rąk, komputerka, nawet kielni i pościomicy, kiedy jednak przypadnie gdzieś tona mięsa czy dwa wagony węgla, nie kwapią się z pójściem do prokuratora i nie pomagają szukać. Nie widzą też bałaganu na budowie, nie razi ich brak dozoru mienia.

Z.P.: — W przypadku drobnych kradzieży w zakładzie szefowie najczęściej wiedzą, kto jest sprawcą lub odpowiedzialnym, dla własnej wygody wolą jednak zgłosić fakt milicji, a po zawiadomieniu o umorzeniu śledztwa mają podkładkę do spisania przedmiotu na straty. Kłopot z głowy i bilans się zgadza.

— Jesienią, jak co roku zapieniają się piwnice...

Z.P.: — I coraz częściej zaglądają do nich nieproszeni goście.

R.R.: — To pytanie zadaje moim dzielnikom co miesiąc. Wykrywalność sprawców jest niewielka. Sami mieszkańcy powinni być bardziej wyczuleni na te kradzieże. Gdy ktoś zauważy nie znanego typu, kręcącego się w piwnicy, i sam boi się go przepłoszyć, powinien zadzwonić do nas i pomóc w jego identyfikacji.

Z.P.: — Podczas jednego patrolu sprawdziłem piwnice przy ulicy Brońewskiego. Wyszedłem z pękiem kluczy wyjętych z klódek i zamków! Podobnie nagminnie jest pozostawianie otwartych samochodów.

R.R.: — Beztroska dotyczy także dzieci. Spuszczone z oczu rodzicielskich na wiele godzin, wymyślają niebezpieczne zabawy na placach budów, rozpalają ogniska w piwnicach, a tam, jak wiadomo, trafiają się i kanistry z benzyną, i makulatura, i inne przedmioty łatwopalne. Chcielibyśmy, żeby wszyscy zrozumieli, że milicjanci pragnęliby zrobić o wiele więcej, niż robią, ale robią tylko tyle, ile mogą.

— Dziękuję za rozmowę, a z okazji Waszego Dnia życzę Panom i Panów kolegom satysfakcji w Waszej trudnej pracy.

Fot. WOJCIECH SURAWSKI

kontakty kontaktów

Z okazji wydania przez Was 100 numeru tygodnika społecznego „Kontakty” życzymy Wam i sobie dalszej owocnej współpracy.

DRUKARZ
Białostockich Zakładów
Graficznych

W imieniu Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej w Łomży, z okazji ukazania się setnego numeru tygodnika „Kontakty”, przesyłam najlepsze gratulacje kierownikowi redakcji i całemu gronu pracowników.

Jestem przekonany, że to poczytne pismo dobrze służyło i w dalszym ciągu służyć będzie naszemu województwu. Także łomżyńska Organizacja Związku Młodzieży Wiejskiej wiele zawdzięcza całej Redakcji i Wam osobiście, Kolego Redaktorze Naczelny, za prezentowanie na łamach tygodnika dotychczasowego dorobku Związku, działającego już drugi rok w realiach naszego województwa.

Życzę dalszych osiągnięć w pracy zawodowej i społecznej.

Z młodzieżowym pozdrowieniem

JERZY DOŁĘGOWSKI
wiceprzewodniczący
Zarządu Wojewódzkiego ZMW

★

Redakcji „Kontaktów” w uznaniu za sportowy gwóźdź sezonu — piłkarski mecz dziennikarzy — „Gwóźdź sezonu” (długość: 70 centymetrów, waga: 8,5 kilograma).

KIBICE z PZU

W artykule „Tucznik na huśtawce” („Kontakty” nr 22) przedstawicie Gminnej Spółdzielni „SCb” w Goniądzu zarzucają nam niewłaściwą jakość wędlin, wąski asortyment i nieprawidłową strukturę mięsa wieprzowego. W związku z tym informujemy, że o prawdziwej ocenie jakościowej produkowanych przez naszą masarnię wędlin mówią dokumenty — wyniki analiz laboratoryjnych wykonanych przez laboratorium przy WZSR w Łomży oraz komisji zakładowej dokonującej oceny organoleptycznej każdej wyprodukowanej partii towaru, które znajdują się u kierownika masarni. W ciągu ośmiu miesięcy br. laboratorium WZSR w Łomży przebadło 29 partii towaru, z czego tylko dwie były niezgodne z normami jakościowymi, oraz dokonało oceny organoleptycznej 114 partii, z których wszystkie odpowiadały obowiązującym normom. Nasze wędliny różnią się od elckich jedynie kolorem, co jest wynikiem prowadzonego procesu technologicznego przy wędzeniu. Poza tym nie mamy plazmy krwi, która posiada cechę twardej konsystencji batonów.

Jeśli chodzi o asortyment, to wyjaśniamy, że nie byliśmy w stanie go rozwinąć z powodu braku pełnej gamy surowca. Natomiast realizacja zamówień na mięso wieprzowe jest niezależna od nas, ponieważ strukturę mięsa ustala Urząd Wojewódzki w Łomży. Jednocześnie informujemy, że w dniu 31 sierpnia br. pracownicy grajewskiej spółdzielni zwizytowali sklepy w Downarach i Klewiance, do których dostarczane są wędliny i wyroby wędliniarskie z naszej masarni. Opinia sprzedawców i konsumentów o wyrobach była pozytywna, a ich oświadczenia znajdują się w tutejszej spółdzielni.

JAN ŁAGUNA
Prezes Zarządu
Gminnej Spółdzielni „SCb”
w Grajewie

Od autora: nie pierwszy to raz wyniki analiz laboratoryjnych są pozytywne, a odczucia konsumentów — wręcz przeciwnie. Oświadczenia sprzedawców i konsumentów wędlin, składane przedstawicielowi „Kontaktów”, różnią się od tych, którymi dysponuje Gminna Spółdzielnia w Grajewie. Może dlatego, że wcześniej nie uzgodniłem z GS-em nazwisk rozmówców.

zbliżenia





KONTAKCIKI

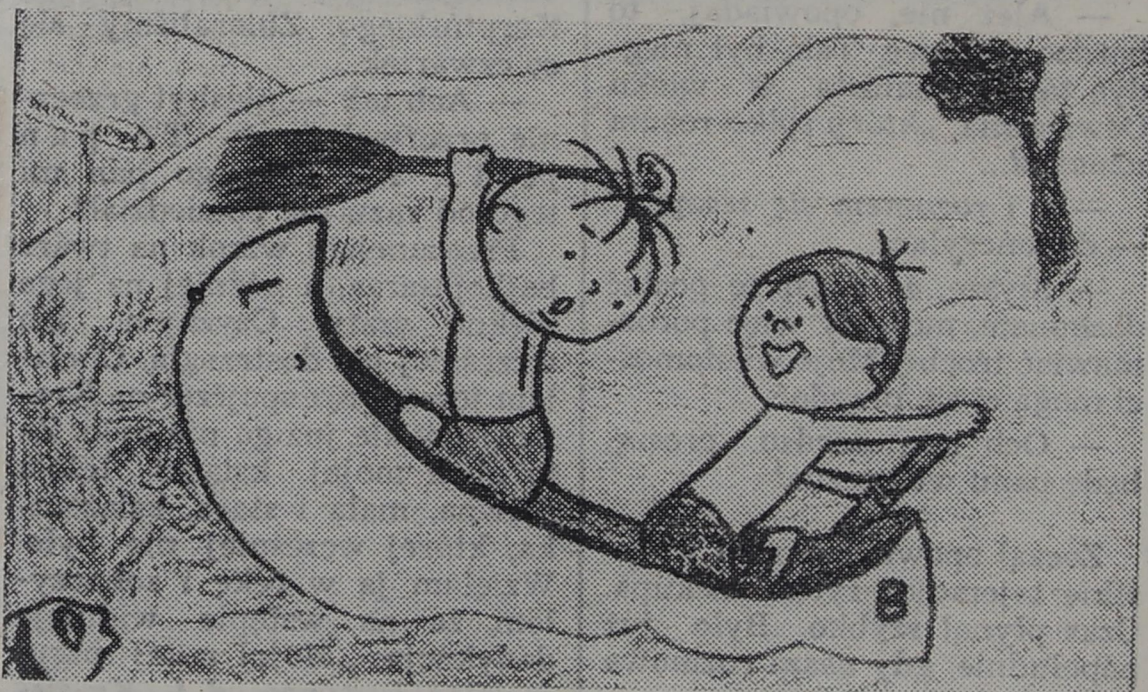
3

Każde słowo, które dziś przeczytasz, napisali Twoi rówieśnicy. Ty także możesz być autorem „Kontakcików”; wystarczy, że ciekawie napiszesz o sobie, interesujących zdarzeniach z życia klasy, rodziny, osiedla lub wsi; gdy utrwalisz miejsce (słowem czy rysunkiem), które Cię oczarowało, lub po prostu zechcesz się podzielić swoimi przeżyciami.

Najwytrwalej współpracujących „Kontakcikowych” redaktorów zaprosimy w przyszłe lato na wakacyjny obóz. Życzymy Ci, byś był jego uczestnikiem. Na obozie poznasz ciekawych ludzi — dziennikarzy, artystów i pisarzy. Będziesz tam pisał, rysował i redagował swój magazyn.

W pierwszym numerze „Kontakcików” ogłosiliśmy konkurs na tytuł magazynu dla dzieci. Do tej pory Twoi rówieśnicy proponowali, by nazywał się on: „SKRZAT”, „NIEZAPOMINAJKA”, „ISKIERKI”, „SEZAMOWE WIEŚCI”, „KĄCIK POD STOKROTKĄ”. A może i Ty masz ciekawy pomysł? Jeśli tak, usiądź, napisz, zaadresuj: Redakcja „Kontakcików”, ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża, i wyślij — najpóźniej do końca października. Może w ten sposób zostaniesz autorem tytułu i wygrasz nagrodę-niespodziankę w naszym konkursie?

„Kontakciki” czekają na Ciebie w każdy pierwszy czwartej miesiąca!



Żegnajcie góry i lasy,
żegnajcie rzeki, pastwiska.
Już wróciliśmy do szkoły
w uśmiechach i — tornistrach.

IWONA MOLENDĄ, kl. V
Wysokie Mazowieckie
Rys. ANITA BUČKO, kl. II
Łomża

oko w oko z żubrem

Do Puszczy Białowieskiej pojechałem wycieczkowym autokarem razem z kolegami z Czyżewa. Po kilku godzinach jazdy zatrzymaliśmy się na parkingu pod Białowieżą. Tam oczekiwał nas przewodnik. Poszliśmy z nim nad staw, przecięty drewnianym mostem, pod którym pływały dwa białe łabędzie. Za mostem stał pomnik króla Jagiełły. Władca ten kazał go postawić na pamiątkę udanych łowów w Puszczy. Pełno w niej było wówczas dzikiej zwierzyny i nikt z polowania nie wracał z pustymi rękami.

Sama Puszcza Białowieska to potężny bór, z którego części utworzony został Białowiecki Park Narodowy. Znajduje się w nim rezerwat żubrów i tarpanów; spotkać tam jeszcze można łosie, rysie, wilki i inne rzadkie zwierzęta.

Tarpany to małe koniki z ciemną pręgą na grzbiecie. Żubry natomiast są potężne, większe od krowy, i mają olbrzymie garby nad karkiem. Przewodnik powiedział nam, że jest ich w Polsce tylko kilkadziesiąt i prawie wszystkie żyją w rezerwach. Są prawie oswojo-

ne, nie boją się ludzi i jak ktoś się ich nie boi, może podejść zupełnie blisko.

W Białowieży zwiedziliśmy muzeum przyrodnicze. Pełno



tam wypchanych zwierząt i ptaków; niektóre już wyginęły i gdzie indziej nie można ich zobaczyć. Są tam również pnie, które kiedyś były barciami, i narzędzia mieszkańców Puszczy.

ANETA SZABLONOWSKA, kl. V
Wysokie Mazowieckie

RYSUNKI NAD TYTUŁEM:

1. KATARZYNA OLSZEWSKA, kl. IV, Łomża
2. BOŻENA KOTOWSKA, kl. IV, Łomża
3. MARZENA ŁADA, kl. IV, Łomża

dwugłos o samorządzie

czarno

Pewnego słonecznego dnia — kiedy słońce stało w zenicie, pod okapem ćwierkały wróbelki, po niebie pokrytym chmurkami przeleciał helikopter, pod balkonem szelekał kulawy pies na jednego faceta w zielonym kapeluszu, czarnym płaszczu i niebieskich pantoflach, wokół ronda jeździły samochody różnych marek, w delikatesach sprzedawali kiełbasę, na korytarzu pani woźna potknęła się o szczeptkę i spadła ze schodów, jakiś mały chłopczyna zasnął na lekcji, na boisku Antek Szajba strzelił czar-

ną bramkę, Stefek zgubił gumkę „Myszkę”, Józek poszedł do ubikacji, czarny kot przebiegł drogą białemu kotu, który wpadł pod samochód marki „Star”, a pani w najlepsze jadła ciastka — wybraliśmy radę klasową.

Nasza rada klasowa nie robiła absolutnie nic i chyba nic nie zrobi w przyszłości (no, może...). Rada była wybierana przez głosowanie, a „Cenię” wybraliśmy na zastępcę przewodniczącego, żeby zrobić mu na złość.

JANUSZ GOŁĘBIEWSKI
kl. VIII, Łomża

biało

klasie zbankrutować) — ustąpiła. Mnie natomiast została przydzielona funkcja sekretarza.

W tym roku samorząd zrobił jeszcze niewiele. Panuje zbyt krótko. Wyzaczył dyżury, zaproponował wycieczkę do Krakowa. W ubiegłym roku działał kiepsko. Wszyscy chcielibyśmy być zadowoleni ze swego samorządu.

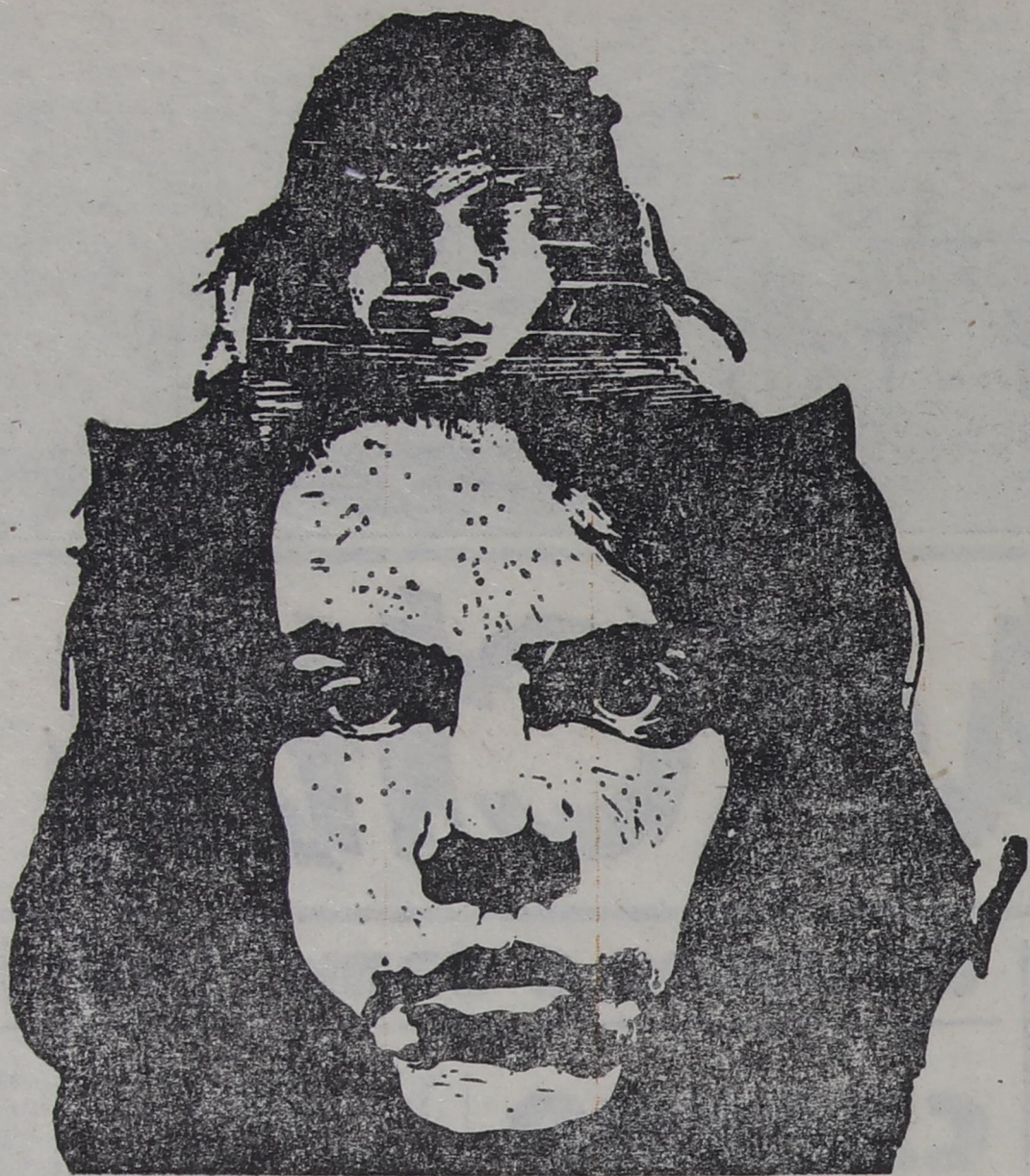
Rada klasy powinna pomagać słabszym w nauce i dbać o interes klasy. W przypadkach, gdy — zdaniem klasy — uczeń zostaje oceniony niesprawiedliwie lub nauczyciel robi niby to „kartkówkę”, która równa się sprawdzianowi, samorząd powinien reagować. Oczywiście, powinien też pilnować, aby każdy z uczniów przestrzegał nie tylko praw, ale i obowiązków z „Kodeksu ucznia”.

Moja klasa jest zgrana; jeśli samorząd postara się, to będzie jeszcze lepsza.

MONIKA HARMUŁOWICZ
kl. VIII, Łomża

magazyn dla dzieci





ryzykowny

lot

Z nie dokręconego kranu kapia powoli krople wody. Sterta brudnych talerzy piętrzy się w zlewozmywaku. Na stole, wśród okruchów chleba i plam rozlanej kawy, leży jakiś świstek. Przykluwam mój wzrok. Podbiegam i szybko ruchem zabieram go ze stołu. Ciekawe, co tu pisze dzisiaj? Wczoraj było: „Obierz ziemniaki”.

„Córeczko, posprzątaj trochę. Ja wrócę później. Naucz się lekcji. Hej”. Dziwna jest moja mama. Nigdy nie pisze: „Sprzątaj dokładnie”, choć zawsze ma to na myśli. Nigdy nie robi wymówek, tylko delikatnie zwraca uwagę, ale takim tonem...

Odruchowo spoglądam na kalendarz — 20 września. Zwykła data, jak każda. Dwudziesty... Wrzesień... Przecież dzisiaj mija kolejny rok naszego pobytu w Łomży. Tylko który? Chyba piąty.

Nagle zapragnęłam zobaczyć, jak wyglądali moi rodzice w dniu ślubu. Wyciągam zdjęcie. Spojrzały na mnie ciemne, szczęśliwe oczy. Na zdjęciu wszystko jest o key. Na zdjęciu...

Mama jest ruchliwa, impulsywna, wesoła, pogodna, lubi towarzystwo, ciekawe rozmowy, poznawanie nowych ludzi. Ojciec stanowi jej przeciwieństwo — małomówny, zamknięty w sobie, poważny, a nawet sztywny; nie znosi gwaru ani gości. Jeżeli nie liczyć krótkiej wymiany zdań na temat pracy i domowych potrzeb, rodzice prawie wcale nie rozmawiają ze sobą.

Fotografia spada mi z kolan. Zerkam na zegar. Druga. O trzeciej wrócą rodzice.

Mój dom jest zwykłym polskim domem, w którym mieszkają zmartwienia i troski, radości i smutki. Mądry był ktoś, kto rzekł: „Bo przecież dom powinien być ciepłym gniazdem, z którego podejmuje się ryzykowny lot w życie na własną odpowiedzialność i do którego się wraca, ilekroć skrzydła są zranione lub zmęczone”.

Z nie dokręconego kranu powoli cieką krople wody. Są tak duże, jak moje łzy. Sterta brudnych talerzy piętrzy się w zlewozmywaku.

„NASTURCJA”, XL VIII
Łomża

Od dawna miałam ochotę przejść się do warszawskich Łazienek. Ostatnio nie miałam czasu, bo nauka bardziej niż zwykle przytwardzała mnie do krzesła. Ale dosyć tego! Dzisiaj idę pod pomnik Szopena. No... zabiorę książkę od polskiego, siadę na łazienkowskiej ławeczce i „przerobię” materiał o Ignacym Krasickim.

Zacząłam od jego życiorysu: — Ignacy Krasicki, biskup warszawski — mruzczałam pod nosem — słynny bajkopisarz, żył w wieku oświecenia...

Moje dukanie przerwał szum wiatru, który nagle się zerwał, i świergot ptaków.

— Gość obiadów czwartkowych... ale przez kogo wydawanych? Ach tak, wydawał je król Stanisław August Poniatowski. Krasicki był wzorem dla...

Znow zerwał się wiatr, i to taki, że musiałam przerwać naukę i schronić się za jakąś rzeźbą. Przeczekałam wichurę i ruszyłam ku swojej ławeczce. Nagle, ku mojemu zdziwieniu, ujrzałam na niej mężczyznę w podeszłym wieku, który czytał jakieś notatki i dopisywał coś do nich. Podeszłam do niego, grzecznie się przywitałam i zapytałam: — Skąd się pan tak nagle tu wziął. Przed chwilą pana nie było.

On, patrząc na mnie łagodnym wzrokiem, pokiwał głową, po czym odparł: — Musiałbym ci bardzo długo tłumaczyć, bo moja historia nie zamyka się w dwóch zdaniach.

— Mówi pan tak dziwnie — zaczęłam i poczerwieniałam. — Przecież ja się nie przedstawiłam! — Chcąc naprawić swój błąd i odwrócić uwagę gościa od własnego roztargnienia, powiedziałam: — Nazywam się Justyna i mieszkam od urodzenia w Warszawie.

— Do mnie zwracaj się Senbaju, zgoda?

— Taaak — odparłam trochę zdziwiona.

— A czego ty się uczysz? — zapytał wskazując książkę.

— Uczę się o słynnym polskim bajkopisarzu, Ignacym

Krasickim. A ponieważ ma być klasówka, wybrałam ten zaciszny kącik, aby się dobrze przygotować. A jest z czego, bo to mądry i zagadkowy człowiek. Jakąż miał wyobraźnię, a jaki talent!

Zauważyłam, że na twarzy Senbaja zamigotał tajemniczy uśmiech.

— Czy pana to nie interesuje?

— Ależ nie, opowiadaj, to bardzo ciekawe. Tak, był niegdyś taki humanista w wieku Oświecenia, „który tylko rozum uznawał...”

— ...i rozumem się szczylił” — dokończyłam.

— Słyszę, że znasz tę postać doskonale, możemy więc porozmawiać trochę. Moje wiadomości mogą ci się przydać.

— Och tak, bardzo proszę, będę panu wdzięczna!

Zaczął opowiadać; znał wszystkie tajemnice życia biskupa. Czas płynął szybko. Było już popołudnie, gdy nasza rozmowa dobiegła końca.

Bardzo dziękuję panu, panie Senbaju — powiedziałam, gdy skończył. — A teraz proszę spełnić obietnicę i zdradzić mi historię własnego życia.

— Oczywiście, lecz abyś zrozumiała, musisz bardzo uważać, jest to bowiem historia dłuższa niż moje życie.

LIDIA IGNASZEWSKA: Grafika



DO CIEBIE MAMO

Na dworze wiatr chłodny wieje
i żółty piasek rozsypuje wokół.
W domu jest cisza wielka,
a w sercu moim niepokój!

Ty siedzisz smutna, mamo, zamyślona.
Czy myślisz o tym, jak to będzie,
gdy spadną wszystkie liście z drzewa
i gorycz zapanuje wszędzie?

Jak wielka jesteś, mamo,
w mych marzeniach,
jaka rozsądna i uczona.
Jakże bym chciał, abyś była zawsze
spokojna — niestrudzona.

ARKADIUSZ KUĆMIEROWSKI, XL VI
Wysokie Mazowieckie

Spojrzałam podejrzliwie na twarz przybysza.

— Dawno — zaczął — bardzo dawno temu byłem słynnym człowiekiem. Pisałem bajki. Kochałem dzieci, dorosłych, młodzież i kraj, w którym żyłem. Zostałem biskupem...

Poczułam dreszcz niepokoju. Zaczynałam rozumieć.

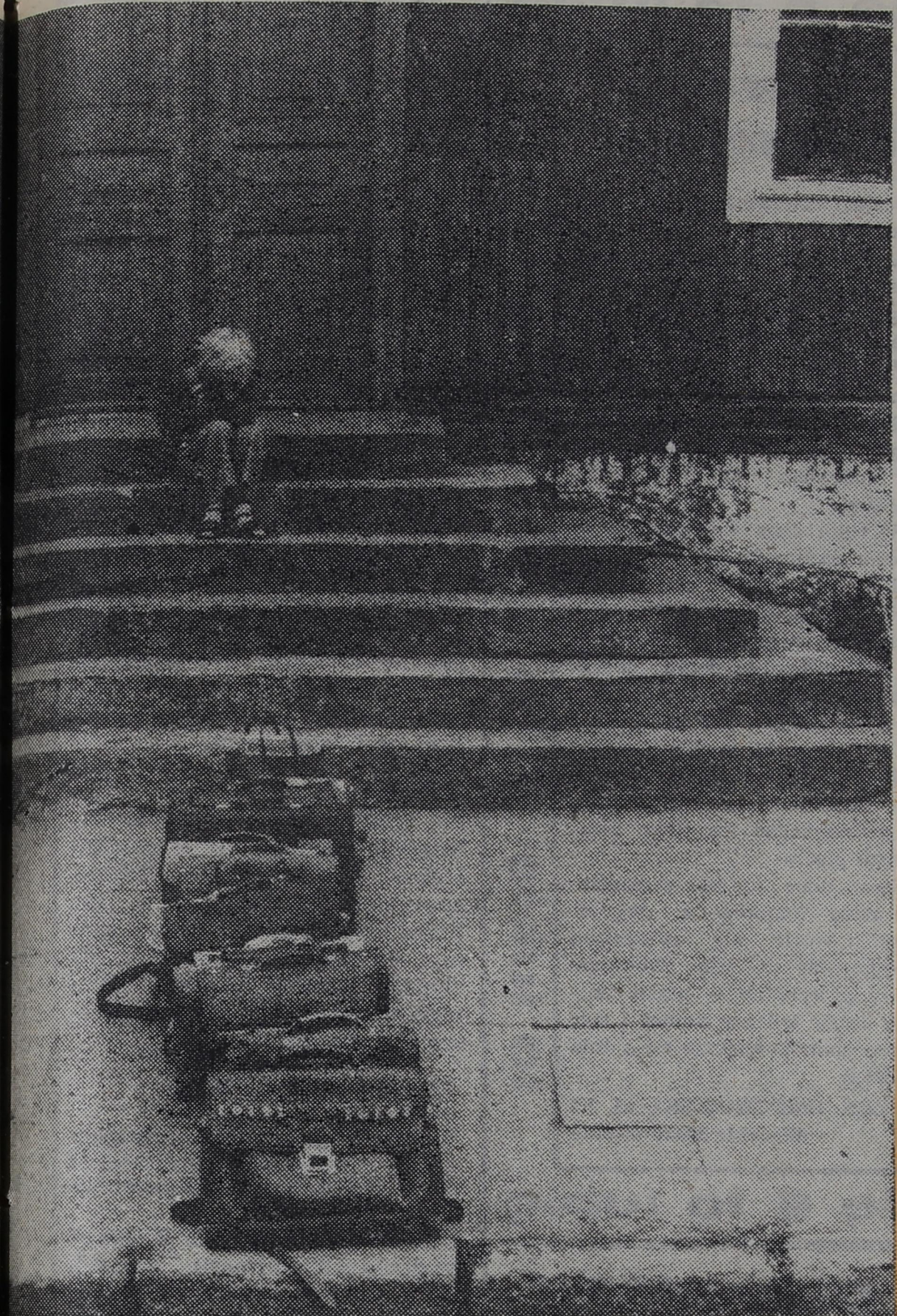
— Bardzo często bywałem w towarzystwie słynnych ludzi: Trembeckiego, Naruszewicza, Karpińskiego. Zbieraliśmy się co czwartek...

— Ach tak — niezbyt grzecznie przerwałam. — To pan jest... Ale dlaczego pan mi tego od razu nie powiedział?

Przesunęłam wzrok na twarz bajkopisarza, a później na jego piękne szaty. Czyżbym ich wcześniej nie dostrzegła. Chciałam jeszcze raz spojrzeć na Krasickiego, ale już go nie było. Za to obok mojej książki leżała dziwna, mała i stara, książeczka, której wcześniej nie było. Wzięłam ją w rękę i zobaczyłam, że na wstępie widnieje dedykacja: „Mojej miłej przyjaciółce Justynie od I. Krasickiego”. Zerwałam się z ławki i krzyknęłam: — Panie Senbaju!

Nagle ujrzałam nad sobą twarz mamusi, która czule do mnie szeptała: — Justysiu, co ci się śniło?

JUSTYNA BONDARENKO, XL VII
Ciechanowiec



dwie codzienności

I

1. Pobudka była o wpół do siódmej. Potem szybkie mycie, ubranie się, śniadanie (bo łóżko ścieliła mama) i już byłem gotowy do wyjścia. Więc wziąłem teczkę z książkami, Justynę (siostrę) za rękę i razem pomaszzerowaliśmy na przystanek szkolnej przyczepy.

2. Pod szkołą byliśmy już piętnaście po siódmej. Zaprowadziłem Justynę do przedszkola, zmieniłem buty w szatni, poszedłem pod klasę, która była jeszcze zamknięta, i powtarzałem sobie lekcje. Tuż przed ósmą dyżurny ją otworzył. Na lekcjach nic szczególnego tego dnia się nie wydarzyło: odpytka z rosyjskiego, ale bez oceny; gramatyka, której nie lubię, na polskim; rozwiązywanie zadań na matematyce. Po siedmiu godzinach znowu przebrałem się w szatni i poszedłem do miasta, kupić sobie na prace ręczne blok techniczny.

3. Szybko wróciłem do szkoły, odebrałem siostrę i około trzeciej po południu razem odjechaliśmy przyczepą do domu.

4. W domu nie było nikogo — mama, tata i babcia na polu zbierali ziemniaki. Dla mnie na stole zostawili kartkę z wiadomością, że bym też przyszedł pomóc. Wtedy na maszynie podgrzałem zupę. Wlałem ją siostrze i sobie, ale Justyna nie chciała jeść, więc jej usmażyłem jajecznicę. Później przebrałem się i Justynę w stare rzeczy i pobiegliśmy na pole.

5. Kartofle zbierałem do zmierzchu i do... zmęczenia, bo było trochę ciężko — sam odnosiłem wiadra.

6. Jak wróciliśmy do domu, umyłem się, przebrałem, zjadłem kolację i zabrałem się za odrabianie lekcji. Później, w łóżku, chciałem jeszcze trochę poczytać, ale jakoś szybko zasnąłem.

ROBERT IDŹKOWSKI, kl. VIII
Bryki (gmina Szepietowo)

II

1. Wstałem o siódmej. Od razu pościeliłem łóżko, umyłem się, ubrałem i zasiadłem do śniadania, które przygotował mi tatuś. Później zapakowałem do teczki, też przygotowane przez tatę, drugie śniadanie i byłem już gotowy do wyjścia.

2. O godzinie wpół do ósmej wyszedłem z domu do szkoły. Mieszkam przy ulicy Wąskiej, więc mam do szkoły kawałek drogi.

3. Na pierwszej lekcji miało być wychowanie plastyczne, ale była wolna, bo pani ma złamaną rękę i jest na zwolnieniu lekarskim. Wtedy Krzysiek pobiegł do domu i przyniósł piłkę. Na pierwszej przerwie dałem Darkowi zadanie domowe z chemii — mieliśmy obliczyć w Newtonach objętość magnezu. Później była historia. Sami przerabialiśmy temat, bo pan ciągle wychodził. Na geografii mówiliśmy o klimacie Europy. Pani kilka razy pytała mnie (z ławki), a na koniec lekcji razem z Krzyskiem dostaliśmy piątki za aktywność. Na chemii omawialiśmy metale, a na śpiewie pani sprawdzała, czy wszyscy mają obłożone zeszyty. Ostatnią lekcją była matematyka. Po kolei rozwiązywaliśmy na tablicy zadania.

4. Ze szkoły wyszedłem za dwadzieścia druga i popędziłem do domu. Tam już czekał na mnie obiad, który ugotowała mama. Była zupa ogórkowa, którą bardzo lubię, i cielęcina z kartofelkami.

5. Po obiedzie, gdzieś do godziny 17.00, odrabiałem lekcje. Nie było dużo zadane, ale sporo czasu zabierała mi chemia.

6. Później grałem w piłkę. Koło domu mamy fajne boisko i zawsze tam chodzimy.

7. O godzinie 19.00 zjadłem kolację i umyłem się. Obejrzałem też sportową część Dziennika TV i położyłem się spać, bo nie było żadnego filmu.

GRZESIEK MAROŃSKI, kl. VII
Ciechanowiec

Tego dnia zwiedziłam Izbę Pamięci w Wiźnie poświęconą kapitanowi Władysławowi Raginisowi, złożyłam kwiaty na grobie jego osobistego przyjaciela, porucznika Brykalskiego, i zobaczyłam pomnik poświęcony obrońcom Wizny. Potem zatrzymałam się nad grobem patrona naszej drużyny, kapitana Władysława Raginisa.

Razem z innymi zuchami ustawiłam się w czworoboku. Jak wszyscy — byłam odświętnie ubrana w harcerski mundur.

Gdy na czerwonej chuście złożyłam harcerski krzyż, a chustę położyłam na grobie kapitana, drużna Irena Łowicka uroczystie przeczytała tekst harcerskiego przyrzeczenia. Słuchałam w skupieniu, serce zaczęło mi mocniej bić. Za chwilę, razem ze wszystkimi, z wielką powagą powtarzałam słowo za słowem:

CZUWAJ!

„Przyrzekam całym życiem służyć Tobie, Ojczyzno,
być wiernym sprawie socjalizmu,
walczyć o pokój i szczęście ludzi,
być posłusznym prawu harcerskiemu”.

Byłam dumna, że zostałam wreszcie harcerką. Drużny przypięły nam krzyże i wręczyły książeczki harcerskie. Wszyscy byliśmy szczęśliwi, a swoją radość wyśpiewaliśmy w piosenkach:

„Idziemy w jasną,
z błękitu utkaną dal,
drogą wśród pól bezkresnych,
i wśród zbóż szumiących fal”.

KATARZYNA SOKOŁOWSKA,
kl. VI, Łomża

Stach Konwa

Tego lata przyjechałem z tatą do Łomży. Byłem w tym mieście już kilka razy, ale nigdy niczego nie zobaczyłem, bo albo mama ustawiała mnie w kolejkę, albo ojciec załatwiał coś w jakimś biurze, a mnie zostawiał pod drzwiami. Tym razem było inaczej. Tata poszedł do Urzędu Wojewódzkiego w swoich sprawach, a mnie dał trzy godziny wolnego i pięćdziesiąt złotych na lody.

Po kilkunastu minutach włoczenia się uliczkami znalazłem się przed pomnikiem Stacha Konwy.

Stach Konwa był synem bartnika. Jego ojciec został skazany na śmierć i powieszony na sośnie na oczach całej gromady, dlatego małego Stacha wszyscy nazywali „wisielczukiem”. Od najmłodszych lat był silny i odważny. Kiedy podrośł, tak jak ojciec zajmował się pszczelarstwem, a swoją mąd-

rość i sprawiedliwość zyskał uznanie wszystkich sąsiadów. Obrali go nawet ławnikiem w sądzie bartnym.

Konwa żył w czasie wojen szwedzkich. Pod Jednaczewem walczył na czele strzelców kurpiowskich. W bitwie tej został ranny i wzięty do niewoli. Najeźdźcy skazali go na śmierć przez powieszenie. Został stracony i pochowany na polance w lesie jednaczewskim. W tym miejscu, w roku 1922, postawiono mu pomnik. Była nim bardzo stara barć, na której napisano: „Tu spoczywa bohater kurpiowski Stach Konwa, zginął śmiercią chwalebną w roku 1733”. W czasie drugiej wojny światowej pomnik uległ zniszczeniu. Ale w roku 1958 w Łomży, niedaleko poczty, postawiono bohaterowi Kurpiów nowy pomnik.

JANUSZ KALINOWSKI, kl. VI
Kolno



Rysunek Beaty Olszewskiej, kl. IV, Łomża



to lubię ■ to lubię ■ to lubię ■ to lubię

gdy splawi drży

Kiedy jest piękna pogoda, lubię grać w piłkę nożną. Szkoda tylko, że tak mało jest dziewcząt w moim wieku, które lubiłyby również piłkę nożną. Lubię też majstrować, ale wtedy zamykam się gdzieś w kącie, bo mówią, że to zajęcie wyłącznie dla chłopców.

Najbardziej jednak ze wszystkich lubię łowić ryby. Zaczynam od zwykłego wiotkiego patyka, który zastępował mi wędkę. Dziś mam już prawdziwy bambus z kołowrotkiem, żyłką, splawikiem i haczykiem. Kto nie lubi łowić ryb, ten nie wie, co to wszystko jest: dookoła cisza, tylko z daleka słychać krzyki małych dzieci, chlapiących się w płytkiej wodzie, i rozmowy starszych, wypoczywających w cieniu drzew. Nagle wędka zaczyna drżeć. Podnoszę ją wówczas w górę i... jest rybka. Czasami małutka, więc delikatnie ją odczepiam i wrzucam do wody, aby jeszcze sobie podrosła. Ale jak jest większa, wkładam ją do naczynia z wodą i czekam cierpliwie na następną.

Lubię w edy być sama, tylko w towarzystwie swego psa. On leży cichutko przy mnie i swoimi mądrymi ślepkami obserwuje moje ruchy. Dobrze zna moje ulubione miejsce nad stawem. Niecierpliwie się kręci, kiedy pora już wracać do domu. Przy swoim Puniu nie boję się samotności. Lekkim warknięciem ostrzega mnie, gdy ktoś nadchodzi, aby nikt nas nie zaskoczył.

RENATA GÓRĘCKA, kl. VI
Wysokie Mazowieckie

mieć własną rakieta

Wycinanie i sklekanie małych części, z których powoli powstaje statek lub rakieta — to dopiero frajda. Najbardziej lubię sklekać modele plastikowe, które robi się o wiele szybciej niż papierowe.

Ostatnio sklekałem statek rzeczny. Nie było to zbyt trudne — w „Małym modelarzu” znalazłem jego opis i historię.

Gdy zasiadam do sklekania, nie interesuje mnie wtedy nawet piłka nożna.

PIOTR CIBOROWSKI, kl. VI
Wysokie Mazowieckie

wyprawa po „tygrysa”

Jestem zbieraczem i czytelnikiem „tygrysów”. Lubię je czytać, ponieważ interesuję się dziejami drugiej wojny światowej, a „tygrysy” dostarczają mi o niej wiele ciekawych wiadomości.

Pierwsze pięć tomików dostałem od kolegi. Od tej pory kupowałem i czytałem każdy kolejny numer „tygrysa”, i tak przez pięć lat zdobyłem ich trzydzieści dziewięć.

W tegoroczne wakacje pojechałem do Łomży, do wujka. Dostałem od niego sto dwadzieścia siedem tomików; mój wujek zbierał je kilkanaście lat. Zaraz po przyjeździe do domu zabrałem się do czytania. Okazało się, że te — mające już kilkanaście lat — książki są ciekawsze od tych, które już miałem. Przez całe wakacje, czyli dwa miesiące, przeczytałem ich około dwudziestu pięciu.

Teraz mam już sto sześćdziesiąt sześć tomików z „tygryskiem” i wcale nie zamierzam zrezygnować z ich zbierania. Wręcz przeciwnie — nadal kupuję każdy kolejny numer i mój bogaty zbiór powiększa się z dnia na dzień.

LESZEK DMOCHOWSKI, kl. VI
Wysokie Mazowieckie

kontakciki „kontakcików”

DROGI KOLEGO!

Nie znamy się jeszcze. Nazywam się Wojtek Decewicz. Jestem uczniem VI klasy Szkoły Podstawowej nr 1 w Wysokim Mazowieckim. Mieszkam w domku przy ulicy Waryńskiego nr 13 razem z rodzicami, bratem i siostrą. Jestem najmłodszy.

Za domem mamy podwórko, na którym stoją klatki z królikami. I to jest właśnie moje hobby. Codziennie daję im siano, zboże i zieleninę. Zebyś wiedział, jakie one są śliczne, szczególnie małe! Teraz, kiedy chodzę do szkoły, nie mogę poświęcić im tyle czasu, co podczas wakacji. Zastępuje mnie w tym brat bądź tatuś.

Króliki to nie wszystko. Lubię grać w piłkę i w ogóle interesuję się sportem. Mam kolegów (kiedy odrobnię lekcje, spotykam się z Markiem lub Robertem i razem postanawiamy, co będziemy robić), ale chętnie poznam nowych. Dlatego podaję swój adres i proszę Cię, napisz.

Pozdrawiam — Wojtek.

WOJCIECH DECEWICZ
ul. Waryńskiego 13
18-200 Wysokie Mazowieckie

„Kontakty” na 102! Z okazji wydania 102 numeru naszych „Kontaktów” życzymy Zespołowi Redakcyjnemu bystrego oka i ostrego pióra.

Sympatycznym „Kontakci-
kom” życzymy koloru i mnóstwa czytelników. Oczekujemy następnego numeru.

DZIECI ze świetlicy
przy Szkole Podstawowej nr 4
w Łomży

konkurs

Z jakiej książki pochodzi ten fragment i kto jest jej autorem?

„Zaraz potem wszyscy weszliśmy do jaskini. Była obszerna i pełna powietrza: zawierała małe źródło i sadzawkę czystej wody obwieszoną paprociami. Klepisko było wysypane piaskiem. Przed ogniskiem leżał kapitan Smollet, a w ustronnym kącie, blade oświetlonym odbłaskami ognia, spostrzegłem wielkie kupy pieniędzy i czworoboczne sęgi sztab złota. To był skarb Flinta, na którego poszukiwanie przyjechaliśmy z tak daleka i który został okupiony życiem siedemnastu ludzi z załogi »Hispanioli«.”

Już wiesz? Więc wpisz:

Tytuł:

Autor:

Jeśli do końca października nadeszlesz prawidłową odpowiedź, weźmiesz udział w losowaniu „Kontakcikowej” nagrody.

to lubię ■ to lubię ■ to lubię ■ to lubię



nasz język giętki

DWOJKA — balon, bania, gała, gol, kaczką, lufa, pała

GOSPODARZ KLASY — sołtys, wójt, władza

NAUCZYCIEL — belfer, maglownica, profesorek

NAUCZYCIELKA MUZYKI — nutka, struna, muzyczka

KLASÓWKA — klasma, klasowa, wałkówka

POWTÓRKA — maglowanie, wałkowanie, wyciskanie

PRZERWA — wczasy, laba, oddech

SKARBNIK — jubiler, złotnik, kiesa

SKARŻYPYTA — gumac, kabel, magnet, przedłużacz

(Słowniczek uczniów „Siódemki” w Łomży)

Autorami prezentowanych prac opiekują się nauczyciele: Krystyna Gacka, Barbara Gromak, Irena Jarzabek, Janina Stankiewicz, Eugenia Szablak, Jadwiga Wakulak, Alicja Wiśniewska, Krystyna Wróbel.

Reprod. Wojciecha Surawskiego

pierwszy medal

Już od samego rana miałam dobry humor. Wcale jednak nie myślałam, że wygram, bo w biegach na 60 metrów wystartować miało nas sześcioro. Na okrzyk „hop” poderwałam się do biegu, ale po kilkudziesięciu metrach nagle zabrakło mi sił. Dobiegłam jednak do mety. I okazało się, że byłam trzecia! I taka szczęśliwa!

Potem wręczono mi medal, który jest wspomnieniem tamtego radosnego dnia.

BEATA KUKOWSKA, kl. IV
Pniewo



Gdzie jest zajac?

Lomża już ponad 20 lat temu rozstała się z atrybutem starego miasta — klasyczną dorożką. Przed wojną miała ich 33 i mogła konkurować nawet z Warszawą. Po wyzwoleniu stało się zaledwie 14, potem 10, 8, wreszcie liczba ta zmalała aż do zera. Udało mi się odszukać trzech byłych dorożkarzy; żaden z nich nie posiada już ani konia, ani dorożki, za to chętnie dzielą się wspomnieniami, które dokumentują pożółkłymi już fotografiami.

zupełnie w starym stylu

najszczęśliwszy los — furmana

Marian Niedźwiedzki chciałby jeszcze pracować w swoim zawodzie, lecz nie ma za co kupić ani konia, ani wehikułu. Tłumaczy: — Gdybym wiedział, że Lomża stanie się miastem wojewódzkim, tak się rozbuduje i zaludni, ocalilibym swoją starą dorożkę. W latach sześćdziesiątych przybywało taksówek, konkurencyjnie ustawiających się po przeciwnej stronie jezdni, i z naszych usług korzystało coraz mniej osób. Za wolno jeździliśmy. Zarobki malały, a utrzymanie rodziny, konika i dorożki kosztowało. Skapitulowaliśmy i poszliśmy do innych zawodów.

Marian Niedźwiedzki liczy obecnie 67 lat i powinien cieszyć się emeryturą. Niestety, Zakład Ubezpieczeń Społecznych nie zaliczył mu pracy w dorożkarstwie. Początkowo próbował wyjaśniać, przywoływać świadków na potwierdzenie swoich słów, lecz gdy się przekonał, że to wszystko psu na budę się zdaje, zatrudnił się w Internacie Liceum Medycznego na etacie nocnego stróża.

Boi się ze mną wchodzić w dłuższą rozmowę, bo gdy niespodziewa-



Reprod. GABOR LÖRINCZY

nie zajrzy dyrektor... A on już bardzo pragnie spokojnego przejścia na emeryturę. Jednak po chwili nasłuchiwanie — dostawia do stołu drugie krzesło.

Zaczął przed wojną na dorożce szwagra. Jeździł do Ostrowi, Ostrołęki, Jedwabnego, Kolna, Zambrowa, Rutka. Czasami wioził księdza do chorego, akuszerkę do porodu, pastora na pogrzeb Niemca. Kurs do dalszych miejscowości wynosił 20—30 złotych, lecz wysokość sumy zależała od hojności jadącego. Lomżyńscy Amerykanie nawet za przejazd po mieście nie dawali mniej niż dolara. Lubili jechać powoli i bardzo uważnie rozglądali się po każdym zakątku ojczyźnianego grodu. Nieźle płacili też weterynarze, nauczyciele, lekarze, oficerowie i wyżsi urzędnicy. Ci używali dorożek nawet do zakupów, co ich koszt-



towało nie mniej niż 1 złoty. Mogli sobie jednak na to pozwolić, bo zarabiali miesięcznie po 500—600 złotych. Bardziej frywolni i rozmiłowani w pięci pięknej pasażerowie wyjeżdżali z dziewczynami do lasu. Dorożkarz nie miał prawa donieść żonę, a tajemnica kosztowała więcej niż sam przejazd.

Najwięcej pracy miał przed Sylwestrem i Nowym Rokiem. Kilka dni wcześniej przychodzili do niego ordynansi oficerów, posłańcy i słudzy najbogatszych, by zamówić dorożkę na wyznaczoną godzinę. Nikt nie czekał na postój. Dorożkę można było też zamówić telefonicznie, wykreśwszy numer Urzędu Poczтового. Dorożkarze szanowali pasażerów — przecież ci ich utrzymywali.

Dorożki stały w kilku miejscach. Główny postój znajdował się przed pocztą i na Starym Rynku. Natomiast wieczorami ściągaly przed lokale: „U Gabrata”, „Rembielin”, „Pod Złotym Koniem”. Najdroższym i najlepszym lokalem był „Rembielin”; bawił się tam „wielki świat” lomżyński, obsługiwany przez piękne, młode warszawianki.

Pan Marian nieraz zaglądał do środka — już to zwabiony ciekawością, już to zaproszony „na jednego” przez swego pasażera. Nie unikał takiej okazji do czasu, aż stracił dorożkę, a potem czekał na nią parę godzin. Odtąd zapraszający musiał mu popilnować dorożkę. Przeraził się ciężkim przypadkiem dewastacji pojazdu swego kumpla: chuligani porwali dorożkę (gdy właściciel był w restauracji), wywrócili do góry kołami w poddorzdzowskim lesie, a konia tak krótko przy pysku uczepili, iż o mało się nie udusił. Na dołatek — dla zabawy — całą uprzęż porzucił w kawałki.

Maciek bezbłędnie rozpoznawał, kiedy jego pan był po wódce, i sam zawoził go do zagrody. Dostawał za to lepszy obrok, kostkę cukru lub cukierka. Dorożkarskie wojaże odbywał Niedźwiedzki przeważnie w dzień. Nie stronił jednak i od nocnych kursów, zwłaszcza w nagłych wypadkach; pobierał za nie podwójną opłatę. Bywało, że i rezygnował z niej całkowicie, gdy trafił mu się jakiś biedak, który przez cały dzień niosł u bogatego machać kosa, by zarobić 2 złote na wyżywienie rodziny.

Przeгляд dorożek odbywał się przed magistratem każdej wiosny. Kto miał najlepszą uprzęż i najładniejszy pojazd, otrzymywał numer pierwszy i królował przez 12 miesięcy; zbierał najwięcej zamówień, i to przeważnie na najdalsze trasy. Do niego należał przywilej obsługiwania wesel i chrzcín, a także organizowania wypraw na targi do odległych miejscowości. Obowiązkowo musiał wtedy ubierać się w dorożkarski strój: granatową czapkę z metalowym daszkiem i białym otokiem z napisem „Polska praca” oraz długi — sukieny lub skórzany — płaszcz.

Każde potknięcie polskiego doroż-

karza było od razu wykorzystywane przez Żydów, którzy mieli dwukrotnie więcej dorożek i robili podchody, by całą komunikację skupić w swoich rękach. Z czasem Żydzi jeździli tylko z Żydami, Polacy — z Polakami. Ubodzy mieszkańcy miasta nieraz łamali te zasady i najmowali się u Żydów do jeżdżenia na

dorożce, za co otrzymywali przydomek „szmajserów”.

Pan Marian przerywa wspomnienia i wygasza światła, a potem robi obchód korytarza. Wraca po kilku minutach nucąc pod nosem: — A ja mówię, że dla pana najpiękniejszy los furmana. Hej wio, heja wio, heja, wiśta, prrrr!

Jechał kiedyś z pewnym kawalerem „w komplementy” w okolice Miastkowa. Kandydata na męża gospodarze zabrali do pokoju, by ugościć rosółem z makaronem, jego zaś posadzili w kuchni przy pajdzie chleba z masłem i kubku zbożowej kawy. Do dziś nie może się pogodzić z takim traktowaniem człowieka pracy.

Ze wszystkich pasażerów najbardziej lubił lomżyńskich gazeciarzy. Ci chwycili w drukarni pierwsze egzemplarze i galopem kazali jechać do miasta, wykrzykując po drodze najważniejsze wiadomości. Płacili też nieźle, dwukrotnie więcej niż przeciętny pasażer.

dorożka nas żywiła

Bolesław Modzelewski do 1934 roku pracował w tartaku, gdzie poznał kandydatkę na żonę. Jego przeciętna miesięczna pensja wynosiła 21 złotych; w latach kryzysu urosła do 42 milionów.

— Papierków było dużo — wspomina żona — kilka worków, tylko niewiele mogliśmy za nie kupić.

Ludzie mieszkali w suterrenach, na poddaszach. Wynajęcie jakiegokolwiek kąta było bardzo drogie. Za mieszkanie u Chojnowskiego — dwa pokoiki z kuchnią — płacili 30 złotych. Rodzice żony wypłacili im (ciulane przez wiele lat pracy w tartaku) posażne pieniądze córki na zakup dwóch koni i wozu, aby „młodzi nie mieli tak ciężko”, jak oni, i Modzelewski został wozakiem. Za załadunek, przywiezienie i rozładunek tony węgla otrzymywał 2 złote; hojniejszy dorzucał jeszcze 50 groszy, ale przytrafiło się to rzadko, bo wozaków było wtedy w Lomży pod dostatkiem. Dodatkowy zarobek przynosiły wyprawy na jarmarki z polskim lub żydowskim zbożem. Za przewóz metra żyta brał 15 złotych. Jednakże coraz bardziej zaczynała mu się podobać praca dorożkarza, bo tak samo jeździli, a nie musieli załadowywać, rozładowywać i wdychać miazmy węglowe. Postanowił ubierać na dorożkę. Sprzedał jednego konia, dołożył z oszczędności i takim sposobem zgromadził kwotę 550 złotych.

Na dorożce zarabiał 5—6 złotych dziennie. Z miasta do koszar przejazd kosztował 1 złoty, choć byli i tacy, którzy się targowali do 20 groszy; ze stacji do pobliskiej ulicy — od 50 do 80 groszy. Honorowi nie odbierali reszty ze złotego. Za podróż do Piatnicy i Jednacza płacili od 2 do 4 złote. Węglowego czy Człewka — 5—6, a nawet 10 złotych.

Gospodyni małej, drewnianej oficy, jaką otrzymali w dzierżawę od magistratu zaraz po zakończeniu

wojny (po lomżyńskiej rodzinie wymordowanej przez Niemców), przejechał zarobek na ceny niezbędnych do domu artykułów.

— Jak się nam żyło? — powtarza pytanie. — Kilogram mięsa kosztował wtedy od 1,20 do 1,50, wołowiny 0,80, cielęciny od 60 groszy wwyż.

Za kilogram dobrej wędliny trzeba było zapłacić 2 złote. Córka uczyła się w szkole krawieckiej za 10 złotych miesięcznie, a że była prymuską, dyrektor obniżył tę należność do 5. Gdy kończyła naukę, materiał z wełny na maturalną suknię kosztował 9 złotych; za pantofle zapłaciłam 7. Gdyby nie dorożka, kieszonkami świeciłaby nie raz.

Pan Bolesław z czasów przedwojennych pamięta już niewiele. Wie, że ma 92 lata i że po dzisiejszej Lomży powinny jeździć dorożki tak samo, jak dawniej.

ostatni dorożkarz

Gdy w Lomży było już tylko 10 dorożek, Wacław Modzelewski miał właśnie numer dziesiąty. Jednakże nie związał się z tym zawodem tak silnie, jak Marian Niedźwiedzki czy Bolesław Modzelewski. Poszedł tam, gdzie można było więcej zarobić, a gdy to się nie udawało — chociaż żdziebko wypić.

Zaraz po wyzwoleniu wybrał się z żoną do Gdańska i osiadł w poniemieckim gospodarstwie, lecz popracował tam tylko 9 lat. Zateśnił do Lomży, zapakowali więc do pociągu dwa konie, wóz gumowy, o jakim wtedy marzył niejedyn lomżyński gospodarz, i wrócili na swoje rodzinne śmieci.

Zniszczona Lomża nie stwarzała im wielkich możliwości zarobkowych, ale że posiadali swój środek lokomocji, mieli już z czego żyć. Pan Wacław dostarczał piwo i oranżadę lomżyńskim sklepikarzom, między innymi do cukierki Lawickiego. Z czasem udało mu się zacząć w magazynie Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, z czego nie był zadowolony, bo załadunek i rozładunek należał do wozaka. Gdy nadarzyła się okazja, zaopatrzył się w dorożkę.

Czuł się już jak człowiek wolny: wstawał, kiedy chciał, a jechał wówczas, kiedy już w domowej kasie nie było grosza.

Jeździł tak do lat sześćdziesiątych. Wtedy przed oczami pana Wacława zakłębił się Ocean Atlantyczny i zamarzyła mu się wielka wyprawa do Ameryki. Machnął ręką na dorożkę i na swego czworonożnego przyjaciela; pojechał zbijać dolary. Żonie przykazał, aby za przysłane banknoty wznosiła willę przy ul. Żwirki i Wigury, a jemu dostarczała zdjęcia z budowy.

Zbliża się pora obiadowa. Pani Zofia wysypuje na talerz parujące ziemniaki. Pan Wacław nalewa do kubka zsiadłego mleka i sięga po łyżkę.

— Gdybym nie był w Ameryce — mówi przed połknięciem pierwszego kęsa — na pewno jadłbym mięso i nie wyobrażał sobie na obiad niczego więcej. Za oceanem najbardziej smakowały mi ziemniaki ze zsiadłym mlekiem.

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Reprod. WOJCIECH SURAWSKI

ginaące profesie



PATYKIEM PISANE

Socjologia postawy ludzkie wobec życia ujmuje chętnie w opozycji: „być” — „mieć”, przy czym ten pierwszy człon jest konstruktem teoretycznym, projekcją

się gdzieś na obszarze od „być” do „mieć”. I nietrudno dostrzec, że między tymi skrajnościami oscyluje. Nie jest proste jednoznaczne rozstrzygnięcie, która z tych postaw ma wyższą wartość, obie bowiem rodzą się z ludzkiego narcyzmu i —

konkurencja dla wszystkich

na rzeczywistość, postulatem, drugi zaś — rzeczywistością samą. Opozycja ta, stosowana do opisu postaw jednostkowych, znajduje swe zastosowanie także przy analizach grup ludzkich, całych środowisk, większych struktur społecznych. Owe przejście od mikro- do makrostruktur łagodzi siłę stwierdzeń. Ostrożność skłania badaczy, bogatszych o przykre doświadczenia behawioryzmu, do określania dominacji, tendencji, do formułowania reguł z zastrzeżeniem sobie prawa do wyjątków. I jest to słuszne, gdyż reguły te powstają na skutek wnioskowania o wyjątkach, czyli poszczególnych jednostkach. Wyjątkowość jednostki uwypuklam nie ze skłonności do skrajnego subiektywizmu, rozumiejąc ją bowiem jako prawo, a nie zasadę.

Postawa każdego z nas znajduje

w pewnym sensie — nie cele je różnią, a środki. W przypadkach skrajnych mogą powodować zupełnie podobne skutki, siejąc spustoszenie w otoczeniu. Jeżeli jednak godzimy się na siebie takich, jakimi jesteśmy (innego wyjścia zresztą nie ma), a więc z całym balastem kompleksów, mądrości, domniemań, przesądów, czyli z pełnym gatunkowym dziedzictwem, które (bez potwierdzenia) przyjmujemy za argument o własnej wyjątkowości, musimy za wszelką cenę pielegnować wszelkie przejawy postawy „być”.

W nieodległych latach siedemdziesiątych społeczeństwo dość miało odsuwaną stale perspektywę na świetlaną przyszłość. Z poczuciem ulgi wybraliśmy budowę „drugiej Polski”. Frustracja, pytania o sens życia, nie, to nie dla nas! Człowiek,

który ma mieć, nie będzie pytał, po co żyć.

Obecnie ponownie stajemy wobec gruntownej przebudowy. A więc szansa! Tym razem już bez obiecanek, zbyt twardo bowiem życie z nich rozlicza. Obawa, by nie powiedzieć zbyt dużo, może sprawić, że zostanie powiedziane zbyt mało. Od rąf niedomówień gorsze są jednak niedomyślenia.

Z uświadomienia sobie własnej biedy można wyprowadzić pewien wniosek: otóż kiedy nie można „mieć”, trzeba „być”. Melancholię budzą wspomniane słowa mojej byłej żony: „Miej książkę nie więcej, niż możesz przeczytać”. Teraz to nieaktualne. Na drodze ku realizacji postawy „być” zdaje się wyrastać barykada. Bo czyż może przekonywać porównanie ceny biletu kinowego do ceny butelki piwa w kawiarni?

Pewien dziennikarz, zasmucony zbliżającym się końcem osobistego nawisu, wyliczył, że naprawiający jego samochód rzemieślnik ceni obecnie swą pracę dwukrotnie, gdy jego, dziennikarza, praca jest wyceniona wyżej w procencie znacznie mniej okazałym. Rodzi się pytanie: czy rzemieślnik wyciągnął z reformy wniosek przedwczesny, czy jedynie słuszny? Obawa napawa rysującą się tendencją: kiedy nie można „być”, trzeba „mieć”. Więc cóż, panowie, szykować łockie?

STEFAN OSTROWSKI



LISTY ZZA RZEKI

rzecznik

Szanowny Panie Stanisławie. Rozważałem ostatnio problem wtrącania się. Zdegenerował mnie mój sąsiad. Zaczęło się to jeszcze w czasie, kiedy zaczynałem kleić mój szalas. Zaangażowałem miejscowego mistrza, żeby wykonał fundament. Sam Pan wie, jak ważna to sprawa, toteż nie chciałem zdawać jej na łup przypadkowych i nie sprawdzonych wykonawców; znalazłem takiego, który i papiery miał odpowiednie, i z oczu mu nieźle patrzyło, a najważniejsze, że polecał go ktoś urzędowo godny zaufania (dziś, niestety, mimo marszczenia czoła, nie mogę przypomnieć sobie, kto to był). Ruszyła robota. Oczywiście, po kilkakrotnym wspólnym i wielomiesięcznym samotnym przez mistrza studiowaniu planów szalasu. Zresztą, niczego nadzwyczajnego w planach mojej budy nie było; ot, jakiś tam, powiedzmy, ząbek w fundamencie. Robocie przy szalasiu kibicował sąsiad. Okazało się zaraz, iż majster to jego krewniak, a że młodszy znacznie był od niego, kazał mówić do siebie „wuj”.

Wuju to, wuju tamto — z jednej strony; kuzynoscak taki, kuzynoscak taki — z drugiej. Gruchanka. Kiedy zdjęto z fundamentów oszalowanie — ząbek przewidzianego w projekcie nie było. Patrzyłem jak urzeczony, bo w owym ząbku zawarta była cała zbytkowność chałupki, którą frywolnie obmyślałem. Uświadomiłem też sobie, że naprawić przeoczenia nie można, bo beton zastępnym w kamień i „dolewanie” do niego ciekogolwiek możliwie byłoby po jego częściowym rozbiciu, a na to zgodzić się nie chciałem.

— To przez wuj — westchnął majster. — Siedzi tu po całych

dniach i gada, dogaduje, doradza, że już sam nie wiem, co robię. — Trudno — powiedziałem — nie będziemy przecież rozwałać. — Ooo — przeciągnął majster — to by dużo kosztowało, dałem mocny procent do betonu. I kto by to rozbił? We trzech przez całą dniówkę tego nie zrobi.

Trudno, pomyślałem po raz drugi i dyskretnie zwróciłem się do sąsiada z prośbą, aby, skoro już prześiaduje przy mojej budowie, mniej majstrowi przygadywał, a uważniej patrzył, co i jak jest robione, i — w razie czego — wzywał mnie natychmiast. Taką umowę zawarliśmy zresztą wcześniej, tyle że to nie ja sprecyzowałem swoje zaufanie do niego. — Nic nie będę mówił — odrzekł na moją propozycję sąsiad. Namaszczył głos jeszcze bardziej, aby dopowiedzieć: — Tylko coś zauważę, dla pana powiem. Następnego dnia, całkiem przypadkowo będąc za rzeką, zajrzałem na budowę. Trafiłem na apogeum piekła. Na szczęście jedynie w sferze słownej, bez rękoczynów. Majster, zapominając o podległościach pokrewieństwa, wujował wujami i pochodnymi, a także wujenkami od tych wujów. Wuj nie zostawał mu dłużny i krewniaczył-sobaczył na niego z nie mniejszym zapalem i przejęciem. Majster najwyraźniej pakował manatki, przy dość biernej, trzeba przyznać, postawie swoich pomocników.

Ja się w tej rozgrywce właściwie nie liczyłem, choć mój był ten skrawek planety, a także — materiały, pieniądze i zamówienie. Zobaczyłem siebie przy rozbieranym na wieczność fundamencie szalasu, który dołączy do zestawu kul u nogi, jakie posiadałem na osobistym wyposażeniu. Po krótkim, lecz intensywnym myśleniu, które doprowadziło mnie dokładnie do miejsca, z jakiego wyruszyłem, czyli bezwzględnie, zauważyłem z ulgą, że antagoniści się rozchodzą. Mogłem

pertraktować. Zacząłem od majstra i, wyczyniając dziwaczne miny oraz gesty, dałem mu znać, co sądzę o jego wuju. Tego zaś dogoniłem na polnej drodze. — Sąsiedzie kochany — powiedziałem wskazując w stronę majstra — to nie może być nikt z pańskiej rodziny. Taki legat! Ale niech skończy to, co zaczął. Przecież wie pan, że dzisiaj trudno w naszych stronach nawet o partaczy. Tylko niech pan nie chodzi do nich na budowę. — Sąsiad zapalił i wykrzyknął: — Wszystko sprawdzę, jak tylko ten skórkoad robotę skończy, ale ręki mu nie podam. I niech mu pan nie płaci.

Odechnąłem z ulgą, nie zwracając nawet uwagi na bezprawność tej wypowiedzi, tak byłem zadowolony ze swoich dwukierunkowych mediacji. Szalas będzie stał — śpiewałem w myślach czując bliski już smak samotności (jeśli jest to odpowiedni myśl do odczuwania takiej właśnie sytuacji egzystencjonalnej).

Roboty przy szalasiu wznowione zostały po tygodniu, szczerze wypełnionym przeprosinami i popijawami wuj z kuzynoscakiem, z przerwami na dwa odpusty w nie pobliskich wcale — parafiach.

Dykteryjka ta, Panie Stanisławie, obrazuje liczne sytuacje w naszym życiu, nie tylko odnoszące się do wznoszenia szalaszów. Pokazuje, jak ważna jest umiejętność mediacji. Ale przestrzega również przed tym, aby działając łagodząco na zwaśnione strony — nie zapominać o tym, że naszym celem jest, na przykład, zbudowanie szalasu, a nie załatwianie różnych spraw wszystkich ludzi w jakikolwiek sposób z tym związanych. A rzecznik? Cóż, rzecznika nie wybieramy. Idzie tylko o to, aby jego funkcja nie uniemożliwiała skłecenia tej budy, w jakiej przyszło nam i w jakiej chcielibyśmy — żyć.

HENRYK GAŁA

spiećcia



Do punktu skupu Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej w Kolnie przybył rolnik z trzynastoma workami jabłek. Pocałował klamkę. Interweniujący sekretarz KMG został pouczone, że należy uświadomić chłopów, iż Spółdzielnia towaru ma dość. Doszły nas też sygnały o marnotrawstwie owoców w punktach skupu w Piątnicy, Dobrzyżalowie i Kisielnicy. Zastanawiamy się, czy czekać, aż firma „umówi” się z nami i będziemy płacić za kilogram jabłek 200 złotych, czy też raczej umówić ją najpierw z mister NIK-iem?

— ◇ —

Po raz pierwszy od wielu lat pojawiły się w Łomży „koniki”; oferowali bilety na mecz „Kontaktów” z „Trójką” i Alojzym Jarguzem. Sukces ten tak podzielał na kopułki zawodników, że niektórzy cichaczem, o zmroku, pieszo ruszyli znad Narwi w kierunku „Juwentusu”. Boniek był również w tawernie, ale nad Tybrem. O balanga — balanga miał!

— ◇ —

Nadnarwiański lud poszedł w las za sromotnikiem. Usmażony, posypany cukrem, działa na muchy prawie tak silnie, jak pewien naczelnik na bezdomną staruszkę z jego gminy: nęci nadzieją i zwała z nóg. Kolejną decyzją. Po czym trzyma się dobrze. Jesteśmy zdania, że sromotniki też zastużyły sobie na specjalną ochronę.

— ◇ —

Ofiarność i umiłowanie pracy nie należą do cech pracowników punktu skupu ziemniaków w Jedwabnem: gdy godzina fajrantu wybije, zostawiają pod gołym niebem gołe sterty bulw na sobotę i niedzielę, choćby słońce miało je spalić, a deszcz wbić z powrotem w ziemię. Róbta tak dalej, chłopcy, i przyjdźta kiedy po „Kontakty” na skręta. O, tyle Wam niedrukowanego zostawim.

— ◇ —

Honorowy krwiodawca (złota odznaka) dowiedział się od rejestratorki w łomżyńskim Pogotowiu, że może skorzystać ze swoich pozakołejkowych uprawnień, ponieważ „dziś pani doktor jest w dobrym humorze”. Jest to, tak zwany numer na osiągi: złotego krwiodawcę po informacji zalewa krew, nadstawia się buteleczkę, upuszcza zleję juszki; mówi mu się, że teraz humor pani doktor jest doskonały, zalewa go znowu... i brygada krwiopijcza w dzień zarabia na sztandar.

— ◇ —

Kierownik działu usług Wojewódzkiej Usługowej Spółdzielni Pracy — zapytany o to, czemu jedyna w mieście pralnia jest nieczynna od 1 lipca br. i dlaczego nikt nie poinformował klientów o terminie jej otwarcia — odpowiedział, że... nie wie; szczegóły powinna znać właścicielka, której „jakieś drobniaki” przeszkadzały podjąć pracę w nowym lokalu. Nie przeszkadzają jednak sz. p. kierownikowi podjąć co miesiąc pewnej kwoty, która nazywa się „wynagrodzenie za pracę”. Cóż, praca faktycznie — olet; pecunia — non olet!



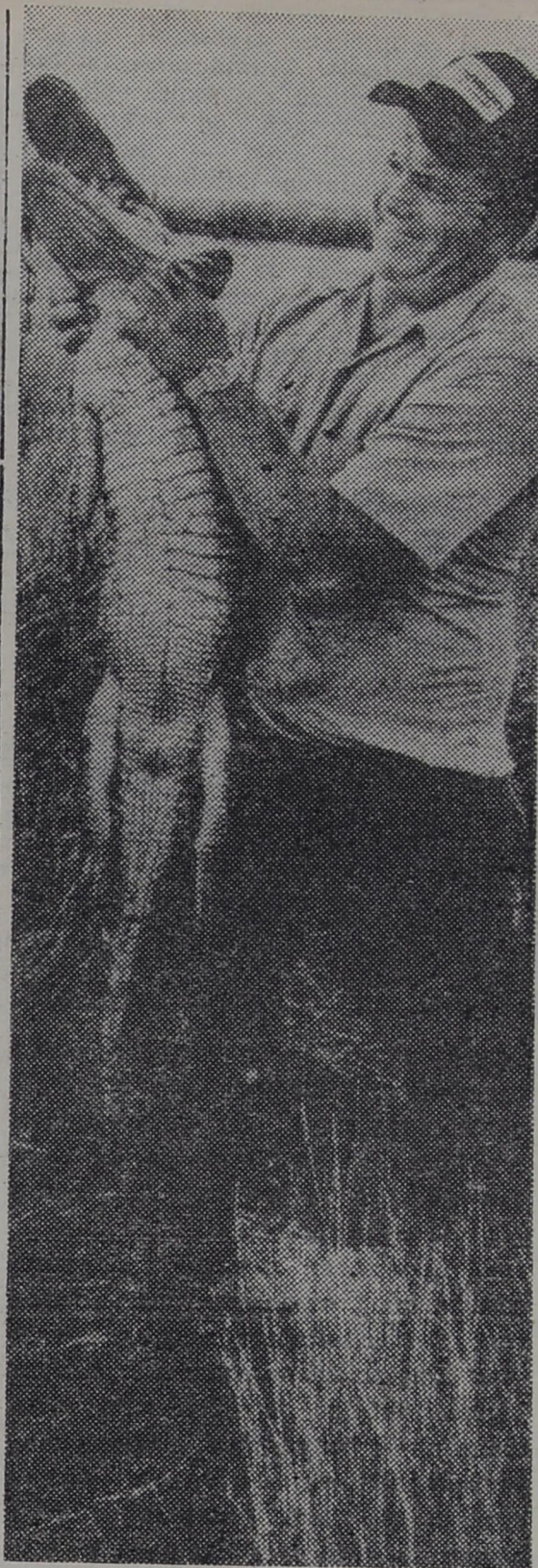
kau — czo

Sok, który wyciekał z pnia po głębokim nacięciu kory. Majowie nazywali „caa o-chu”. Drzewo, które go wydzielalo, również nosiło taką nazwę. Inne źródła podają termin bardziej zbliżony do powszechnie dziś używanego — „kau-czo”. Indianie znali właściwości „kau-czo”. Mleczko, które po zakrzepnięciu dawało substancję miękką i elastyczną, stosowali do wyrobu naczyń na wodę, mokasynów, ubiorów. Największy podziw białych wzbudzała żywa kula, odbijająca się od ziemi, a więc piłka. Fakt ten odnotował Kolumb w swym dzienniku z podróży. Wspominał, że widział Indian, którzy rzucali skaczącymi kulami — w coś się bawili.

Dopiero w XVI i XVII wieku zaczęły do Europy przenikać różne drobniaki produkowane przez Indian z kauczuku, szczególnie „żywe” piłki. Na początku osiemnastego stulecia jeden z uczonych angielskich stwierdził, że kauczuk znakomicie usuwa ołówkowe pismo, i nadał mu nazwę „rubber” (wycieracz). W krajach, gdzie króluje język angielski, kauczuk do dziś nosi tę nazwę.

Pewien Anglik, Goodyer, odkrył, że kauczuk ogrzewany z siarką staje się odporny na działanie wysokiej i niskiej temperatury. Tak powstał przemysł gumowy, wytwarzający m.in. dętki i opony.

Brazylia była monopolistą w eksploatacji puszczającego kauczuku z Amazonki. Dopiero angielski plantator, Henryk Wickham, sprytem i podstępem ten monopol przełamał — przemycił nasiona drzewa *hevea brasiliensis* we wnętrzu krokodylich trofeów myśliwskich. Zostały one posiane w cieplarni ogrodu botanicznego, a stamtąd sadzonki pojechały w ogrzewanych lukach na Ceylon. Przemysłnik został sowiec wynagrodzony; nadano mu nawet tytuł szlachecki.



lizanie złota

Złoto, jako kruszec trudno dostępnym, miało od wieków cudowną moc. Gdy komuś pojawił się na oku jęczmień, wystarczyło potrzeć chore miejsce złotą obrączką, splunąć trzykrotnie za siebie i paskudztwo ponoc zniknęło. Aby noworodek nie był żółty i nie miał rudych włosów, należało włożyć do jego pierwszej kąpieli złoty pierścionek. Piękną wymowę zapewniało również lizanie czegoś złotego. Cyganie wierzyli, że

złoty kolczyk w uchu dziecka, które urodziło się po śmierci swego pierworodnego brata czy siostry, uchroni je przed wczesnym zgonem. W starożytnym czy średniowiecznym sądzie można było nakłamać ile wlezie, ale tylko wówczas, gdy pod językiem leżała złota moneta. Kłamstwo w takim przypadku przylegało do złota i krzywoprzysięzca mógł je później z monetą wypłuć — bez obawy o konsekwencje.

niebezpieczna lektura

Chińskie dzienniki „Kungzen Pao” i „Czung Kuo Cingnien Pao” zażądały od Związku Młodzieży Komunistycznej skonfiskowania książki „Serce młodej dziewczyny”. Lekturę tę, którą przepisywali ręcznie licealiści i studenci, uważa się za niezwykle groźną. „Zatruwa ona młode umysły, sprowadza młodzież na złą drogę”, bo skłania ją do angażowania się w sprawy miłosne, a więc, jak uważają chińskie czynniki, do przestępczej działalności seksualnej. Chińska przyszłość narodu, za-

miast poświęcić się nauce i działaniu dla dobra społecznego, pod wpływem zakazanej lektury — zajmuje się flirtem, miłosną korespondencją i seksem. Zważywszy fakt, że w kraju tym przedmażeńskie stosunki seksualne uważa się za niemoralne, a środki antykoncepcyjne sprzedaje się wyłącznie osobom zamężnym i żonatym, nie dziwnym się iż miłosne poczynania licealistów i ich erotyczna swoboda są publicznie potępiane.

Fot. CAF



rady naszych prababek

Wyjmowanie gwoździ zardzewiałych staje się łatwe, jeżeli przy pomocy oliwarki od maszyny nakapać na nie oliwy lub nafty.

Wbijanie gwoździ w twarde drewno staje się łatwiejsze, jeżeli przed wbijaniem zanurzyć je w rozpuszczonym wosku z parafiną.

Jeżeli przy wbijaniu w ścianę gwoździ wykrusza się mur, należy w otwór wbić kawał drewna, uszczelnić szpary ciastem z kleju i trocin; gwoździe wbijać w drewno po zaschnięciu masy klejowej.

sen o ustach

W wielu sennikach można spotkać tłumaczenie snów o kobiecie jako zapowiedź przedsięwzięć pomyślnych i udanych. Stara i brzydka kobieta przynosiła jednak same straty i rozczarowania.

Mężczyzna we śnie, jak twierdzili Arabowie, symbolizował samego śniącego i jego problemy. Do tego poglądu skłaniał się również Freud. Natomiast inny psychoanalityk, Jung, uważał, że sen o mężczyźnie jest pomyślnym znakiem, ale

wówczas, gdy jest to mężczyzna starszy.

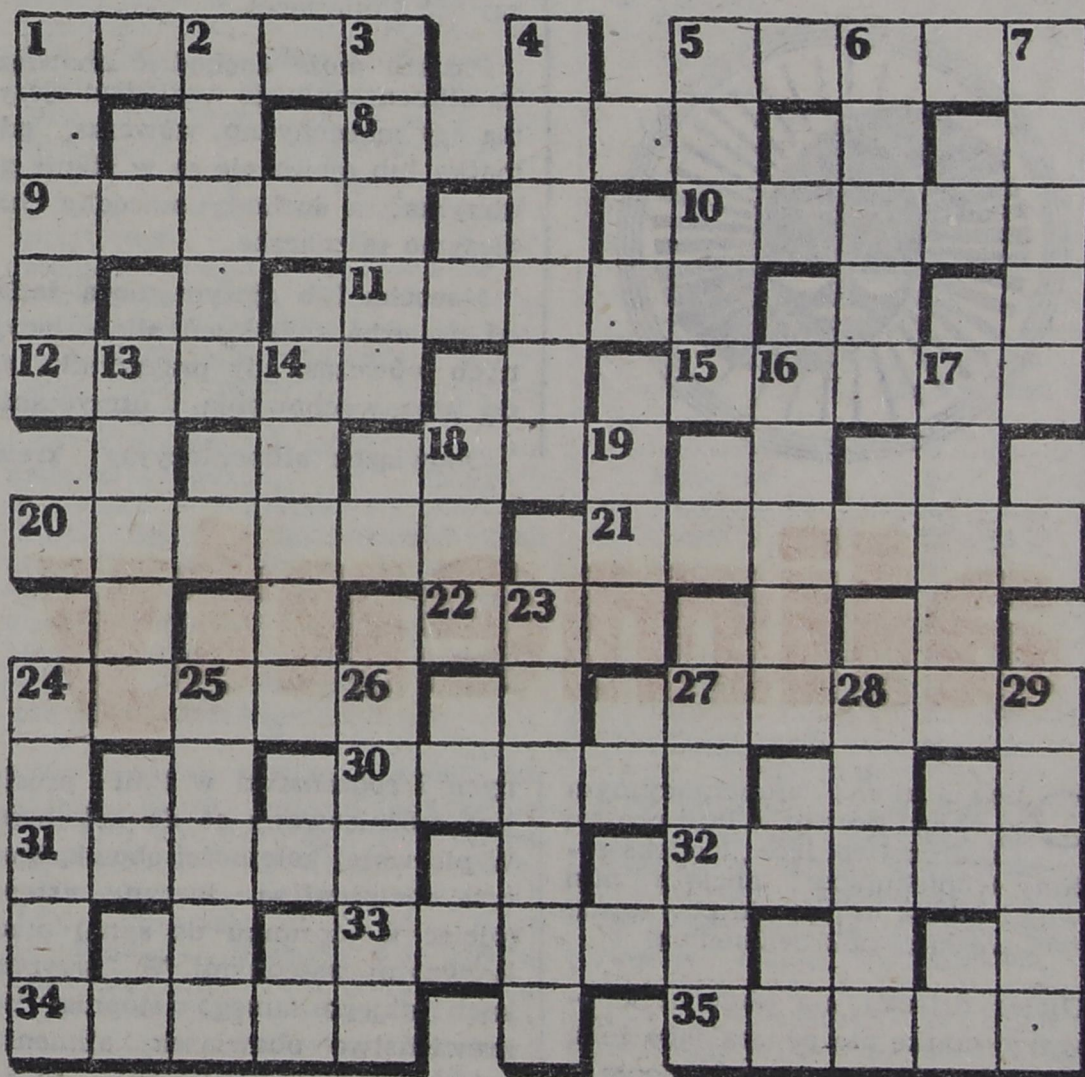
Śnienie o dziecku starożytni uważali za niepomyślną wróżbę, ale nie wówczas, gdy dziecko się bawiło i śmiało. A już karmienie dziecka piersią, trzymanie go w objęciach — na wiele lat wróżyło śniącemu pomyślność. Jung natomiast twierdził, że sny o dziecku zwiastują głębokie przeobrażenia psychiczne.

Usta w sennikach starożytnych były symbolem domu. Uśmiechnięte zapowiadały wzrost bogactw, zamknięte nakazywały ostrożność w przedsięwzięciach, zaciśnięte wróżyły śmiertelne niebezpieczeństwo.

TANIE DANIE

rolada wołowa

Kawałek wołowiny, ukrojony dość cienko, rozbić dobrze i uformować cienki plaster. Nałożyć farsz: czerstwy chleb, bez skórki, namoczyć w wodzie, odcisnąć, dodać cebulę posiekaną lub rozdrobnioną na tarce, sól, trochę pieprzu, papryki albo lyżkę utartego chrzanu; wbić całe jajko (kto woli farsz mniej ścisły — dwa żółtka), wyrobić na jednolitą masę. Zwinąć plaster mięsa jak struclę z makiem, okiecić grubą nitką, obrumienić w tłuszczu na patelni. Przełożyć mięso do rondla, spłukać patelnię wodą i polać nią wołowinę. Dodać pokrajany kawałek słoniny, cebulę, marchew, pietruszkę, suszony grzybek i dusić powolutku do miękkości (około 3 godzin). Jeżeli sos jest rzadki, włożyć kawałek czerstwego chleba, niech się razem dusi. Roladę pokrajać w plastry i polać sosem przetartym przez cedzak.



POZIOMO: 1) parów, jar, 5) jednostka marynarki wojennej, 8) na kopercie, 9) kulak, dłoń o zgiętych, skurczonych palcach, 10) święta księga islamu, 11) ślaz ale inaczej, 12) kręci głowę, 15) produkt piekarniczy, 18) angielska miara gruntów, 20) szkrab, malec, brzdąc, 21) krzew ogrodowy, 22) klepisko w stodole, 24) bohater „Iliady”, drugi mąż pięknej Heleny, 27) szpieg, 30) imię królów francuskich, szwedzkich, 31) w peletonie jedzie w fioletowej koszulce, 32) ryba z rodziny karpiowatych zamieszkująca w mulistych wodach, 33) rodzaj bosa używanego jako sprzęt przeciwpożarowy, 34) zażytkowe miasto położone nad Wisłą, 35) państwo europejskie.

PIONOWO: 1) pastwisko, miejsce wypasania, 2) mogą być małżeńskie, uczuciowe, 3) choroba oczu lub na rzece, 4) hodowlany ssak z rodziny zajęcy, 5) marzenie każdego filmowca, 6) drapieżny ptak z rodziny sokołów, 7) przejście, przejazd pod ziemią, 13) barwny ptak z rodziny łuszcaków, 14) przyjemne życzenia 23 kwietnia, 16) obwód, rejon, 17) pierwiastek chemiczny o liczbie atomowej 33, 18) doniosły czyn, 19) jeden ze znaków Zodiaku, 23) powstaje na ciele po uderzeniu, 24) inwencja twórcza, lotność w sposobie rozumowania, 25) urządzenie radiolokacyjne, 26) boczna część czoła, 27) burmistrz, wójt w Hiszpanii, 28) biały na sali kinowej, 29) przerywa ją zwycięzca na mecie

„HCL”

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.



Wawa tygodnie po rozpoczęciu roku szkolnego nauka powinna iść już całą parą, a szkoły i internaty — pachnieć świeżością i lśnić po wakacyjnych remontach. Powinny... Niespodziewana przedpołudniowa wizyta w internacie Zespołu Szkół Medycznych budzi grozę. Wpiero zupełnie znikają klucze, a obecnych ogarnia amnezja. Zanik pamięci jest jednak wybiórczy i, na szczęście, chwilowy. Ustępuje pod wpływem uśmiechu, a może bardziej argumentu, komisarza: „Co by pani zrobiła, gdyby w którymś z

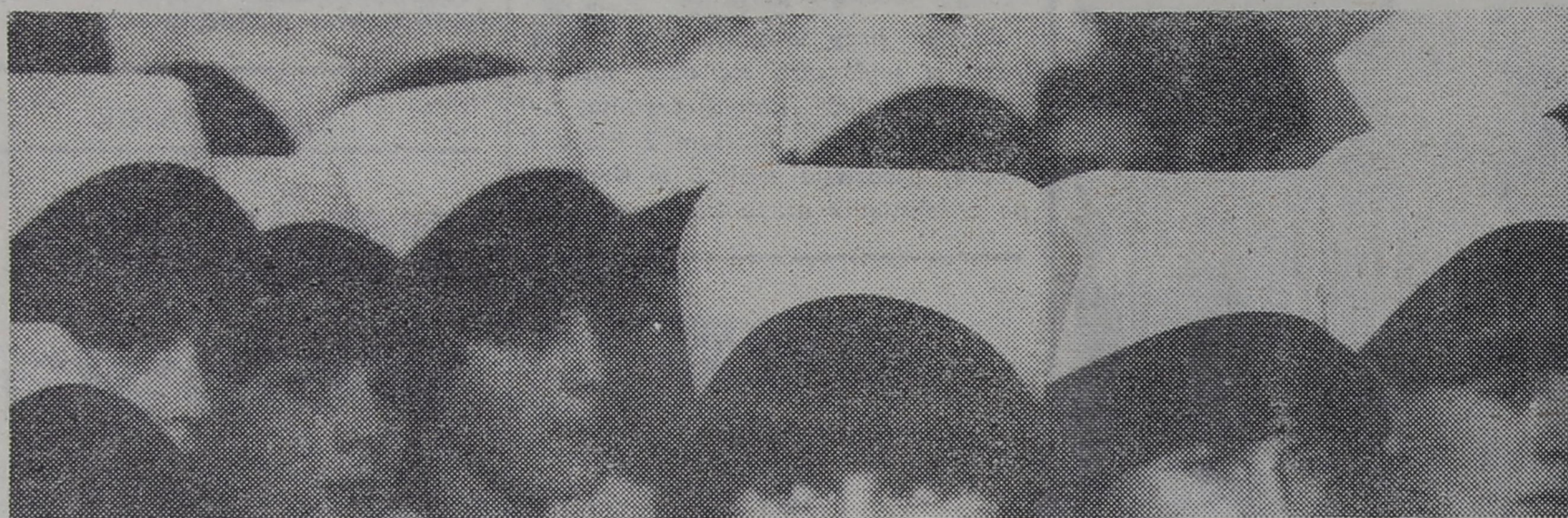
W internacie mieszka 201 dziewcząt, o 60 za dużo. W sypialniach jest ciasno, po pięć łóżek. Pewnie dla poprawienia warunków nauki zabrano stąd radia i przeniesiono je do... pokoju nauki. Po wielu perypetiach udaje się go otworzyć. Jeszcze raz sprawdzamy napis na drzwiach, gdyż zawartość sali szokuje: dwa telewizory, cztery fotele, dwa rachityczne stoliki i ogromna, pusta, ale za to rozwalająca się, szafa. Wszystko okraszone falistymi

arzewi podpierane krzesłami, uszkodzone tapczany. Tłumaczenie: stolarzowi nie opłaca się naprawiać. W jedenastu pokojach od roku czy dwóch brakuje szyb — nie było szkła lub szklarza. Dziewczęta marzy, więc okna zaklejały papierem. Framugi też są spartaczone, przez szczeliny wpada do wewnątrz nie tylko nadmiar świeżego powietrza, ale i deszcz, i śnieg. Internat ma dopiero cztery lata.

Niewątpliwie w trosce o zdrowie dziewcząt zabrano im z pokójów

to internat przyszłych pielęgniarek, które powinny być szczególnie wrażliwe na porządek i higienę.

Magazyny, podobnie jak kuchnia, nie wzbudzą większych zastrzeżeń. W jednym z nich znaleźć można nawet pokaźną ilość środków czystości. Dorodna niewiasta wyciąga zza dekoltu pęk kluczy — tu nie ma tajemnic. Są za to niespodzianki. W zadziwiający sposób, np. zamykają się lodówki — stare „Moskwy”. Drzwi jednej z nich podiera stółek, a dla pewności, u gó-



tych pokoiów wybuchł pożar? Za wzięcia pani na to, żeby wysadzać drzwi kopniakiem. Lepiej nosić klucze przy sobie”. Kierowniczka znajduje je wreszcie, co nie poprawia jednak oceny zabezpieczenia przeciwpożarowego: schowek na koce — pusty, choć koców nie brakuje; hydranty solidnie zakręcone grubym drutem (kto to złamie lub odkręci?), skrzynki hydrantów służą za pojemniki, dobrze zamaskowane, popielniczki. Dziewczęta widocznie — w przeciwieństwie do kierowniczki internatu — boją się ognia...

karniszami, wystającym ze ściany kablem i ogromnymi pajęczynami. Pokój nauki niedbalstwa i bałaganu.

Wypożyczenie sypialni jest zaledwie podstawowe: tapczaniki, niewyszukane szafy, stół, cztery krzesła i nocne stoliki. Ściany puste; czasem jakiś afisz, reprodukcja lub święty obrazek. Wiele reprodukcji — nie wiadomo dlaczego — ktoś zamknął w magazynie pościeli. Porządek, a raczej nieporządek, w sypialniach jest może mniej bulwersujący niż w pokoju nauki, ale i tu zdarzają się zdemolowane szafy,

lampki nocne. Nie powinny bowiem zarywać nocy na lekturach. Od 22.00 obowiązują cisza i mrok. Wracające z praktyki (o 21.30) muszą się bardzo spieszyć z toaletą. Na naukę pozostaje im ranek.

W łazienkach brakuje pryszniców, a tu i ówdzie — także żarówek. Zastanawiająca jest zawartość szaf przyłazienkowych: na jednym piętrze butelki po śliwownicy, na drugim — butwiejąca zagrycha; prawdopodobnie jeszcze po wakacyjnych gościach. Bałagan, brud i pajęczyny rażą tym bardziej, że jest

ry, przytrzymuje je zwykły haczyk. W kącie — zapomniana, nowa chłodziarka, jeszcze na gwarancji, lecz nieczynna. Fachowcy podobno nie lubią takiego sprzętu naprawiać i nawet dyrektor szkoły nie może ich do tego zmusić.

Zawsze wszystko można wytłumaczyć „trudnościami obiektywnymi”, złą wolą i niechęcią innych. Są to jednak tylko okoliczności łagodzące, nie zwalniające nikogo z obowiązków: ani administratorów budynku, ani wychowawców młodzieży.

PORADNIK PATENTA



się domagać ponoszenia kosztów swego utrzymania przez okres dłuższy niż 3 miesiące).

Pasierb może dochodzić obowiązku alimentacyjnego względem ojczyma czy macochy np. wówczas, gdy matka lub ojciec nie są w stanie go utrzymać, a dochody macochy lub ojczyma są znaczne.

Macocha lub ojczym mogą żądać od pasierba świadczeń alimentacyjnych wówczas, gdy przyczynili się do jego wychowania i utrzymania.

Obowiązek alimentacyjny krewnych i rodzeństwa w linii prostej jest zróżnicowany co do kolejności.

alimenty

Obowiązkiem alimentacyjnym są obciążeni krewni w linii prostej i rodzeństwo, lecz „Kodeks rodzinny i opiekuńczy” obciąża nim również i inne osoby, nie powiązane nawet węzłami pokrewieństwa.

Ojciec dziecka ma obowiązek utrzymać matkę nie będącą jego żoną przez 3 miesiące w okresie poporodowym oraz pokryć wydatki związane z ciążą i porodem (matka dziecka — z ważnych powodów — może

nych i rodzeństwa w linii prostej jest zróżnicowany co do kolejności. W pierwszej kolejności obowiązkiem tym obciążeni są krewni zstępni (ojciec w stosunku do syna) przed krewnymi wstępnymi. W przypadkach takiego samego stopnia pokrewieństwa obowiązek alimentacyjny dotyczy wszystkich — w zależności od ich zarobków i majątku. W przypadku rozwiązania małżeństwa obowiązek ten obciąża w

pierwszej kolejności byłych małżonków.

W praktyce sądowej najczęstsze są roszczenia małoletnich wobec rodziców. Przeważnie praw tych dochodzi matka (czasem ojciec), ale może to być również prokurator lub organizacja społeczna (Liga Kobiet, Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, PKPS, ZSMP, ZMW i inne). Wysokość świadczenia alimentacyjnego jest zależna od usprawiedliwionych potrzeb uprawnionego i od zarobkowych oraz majątkowych możliwości zobowiązanego. Sam fakt, iż ten nie pracuje na stałe lub w ogóle, nie zwalnia go od płacenia, sąd bowiem ocenia możliwości zarobkowe zobowiązanego, zatem porzucanie pracy jest bezcelowe, natomiast może spowodować odpowiedzialność karną za uchylenie się od obowiązku alimentacyjnego.

Wyrok alimentacyjny zawiera klauzulę natychmiastowej wykonalności, tzn. iż mimo zaskarżenia go — trzeba przysądzone kwoty bezwzględnie uiszczać. W procesie alimentacyjnym najlepsze jest zakończenie sprawy ugodą; ma ona moc wyroku i podlega wykonaniu.

Gdy egzekucja świadczeń alimentacyjnych przez komorników lub

pracodawcę okaże się bezskuteczna, możliwe jest uzyskanie całej kwoty bądź jej części z Funduszu Alimentacyjnego, pod warunkiem jednak, że dochód w rodzinie uprawnionego nie przekracza 2 tysięcy na członka rodziny. O bezskuteczności egzekucji zaświadcza komornik, po czym przekazuje stosowny wniosek Zakładowi Ubezpieczeń Społecznych, który wydaje decyzję o przyznaniu świadczeń z Funduszu Alimentacyjnego; nie przekraczają one 1000 złotych na jedną osobę. Egzekucja w stosunku do dłużnika jest nadal prowadzona, przy czym uzyskiwane kwoty są przeznaczane w pierwszym rzędzie na pokrycie należności z Funduszu, a ewentualną nadwyżkę otrzymuje uprawniony.

Dzieci osób starszych, głównie na wsi, uważają, że skoro rodzice otrzymują rentę za przekazane gospodarstwo bądź — w przypadku pracy w zakładach ubezpieczonych rentę czy emeryturę, one są zwolnione od obowiązku alimentacyjnego. Stanowisko takie zasadne byłoby wtedy, gdyby świadczenia te pokrywały w pełni potrzeby rodziców, a wiadomo, że w wielu przypadkach tak nie jest.

ZYGMUNT ZEMBRZYCKI

7 X 1656 r. wojska litewskie pod dowództwem Gosiewskiego przeprawiły się przez Narew w Włzie i szybkim marszem dotarły do Wąsosz, ufortyfikowanej twierdzy, która zajmował gen. Waldeck. Wąsosz został zdobyty.

8 X 1656 r. doszło do bitwy pod Rostkami, w której zwycięstwo nad Szwedami odnieśli Polacy.

W październiku 1802 r. w Łomży wystąpiła wśród bydła zaraza. Przez trzy miesiące nie wolno było wprowadzać zwierząt do miasta.

5 X 1807 r. w Łomży odbyła się pierwsza sesja władz administracyjnych departamentu łomżyńskiego.

wypisy z historii

W październiku 1812 r. miał miejsce przemarsz wojsk rosyjskich i austriackich przez Łomżę.

2 X 1819 r. w Łomży przebywał car Aleksander I.

W październiku 1825 r. powstało w Łomży Ziemskie Towarzystwo Kredytowe.

15 X 1943 r. we wsi Smolarze (w gromadzie Włzie) patrol kedywu AK przeprowadził akcję bojową na miejscową pocztę.

10 X 1944 r. rozpoczęły działalność Komitety Powiatowe PPR w Łomży

i Wysokiem Mazowieckiem oraz Komitet Miejski w Białymstoku.

7 X 1964 r. w Kolnie został przekazany do użytku Zakład Dziewiarski, podległy Łomżyńskiemu Zakładowi Przemysłu Terenowego. Zakład zatrudniał 100 osób. Symbolicznego uruchomienia maszyn dokonał zastępca przewodniczącego Rady Państwa, Bolesław Podedworny.

6 X 1968 r., w 110 rocznicę urodzin mazurskiego poety, w Ogródku otwarto muzeum biograficzne Michała Kajki. Jego imię nadano również miejscowej szkole i odsłonięto na jej froncie tablicę pamiątkową.

Odsłonięcia tablicy dokonał syn poety — Adolf Kajka z Orzysza.

W październiku 1969 r. we wsi Łyse (powiat kolneński) powstało Kurpiowskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne.

9 X 1972 r. komunalna rozlewnia gazu płynnego w Łomży — na trzy miesiące przed planowanym terminem — rozpoczęła rozlewanie propanu technicznego, zaopatrując 7 województw w Polsce.

W dniach od 9 X—15 XII 1972 r. w Muzeum Okręgowym w Białymstoku była czynna wystawa biograficzna, poświęcona wybitnemu etnografowi, archeologowi i historykowi — Zygmuntowi Glogerowi (1845—1910).

KURPIOWSKI SPRYT

Polowali pod Myszyńcem panowie z Łomży. Pod wieczór chcieli wynająć Kurpię z furmanką, żeby ich odwieźć do domu. Ale on za przejazd żądał aż pięciu rubli! Panom to wydało się za drogo. Jeden z nich wyszedł i znalazł w obejściu wielki kamień. Powiedział, że chce go kupić. Po długich targach ugodzili się na pół rubla.

— Ale musicie, gospodarzu, zapłacić go do Łomży.

Załadowali kamień na wóz i pojechali. W Łomży zeskoczyli z wozu i zamierzali udać się do domów, ale Kurp ich zatrzymał: — Panowie, a kamień?

— Zabierajcie go sobie z powrotem, dobry człowieku. My cel osiągnęliśmy.

*

W puszczańskiejsi młodzie z wybieczki z biedą wyprosili i wytargowali, za potrójną cenę, nieco mleka i chleba. Postanowili chciwcę ukarać.

— Chcielibyśmy kupić jeszcze kwartę piasku, sprzedacie?

Kurp się zadumał. — A ile dacie? — zapytał.

— Po złotemu za kwartę.

— A nie za tanio to?

— Nie. Taka jest cena w Łomży. To Kurpia przekonało. Udał się za stodołę, wymierzili równą kwartę, zapłacili i odeszli.

Na najbliższy targ Kurp przywiózł do Łomży wóz piachu. Baba siadła z kwartą i czekała na klientów. Ludzie oglądali, pytali, co ma do sprzedania.

— Ano, piach.

— Po czemu?

— Po złotemu kwarta.

Wybuchł śmiech powszechny i wydziewanie, aż strażnik musiał zbiegowisko rozprężyć. Chciwcę ze wstydem uciekł do domu wraz z piachem, bo mu nawet nie pozwolili wysypać go z wozu.

*

Szedł stary Kurp z Łomży pod Myszyńiec piechotą, a miał na sobie nową uprząż. Przysiadł na moment w lesie, by odpocząć. Przechodzący ludzie pytali, czemu nie wziął na jarmark konia, a stary odpowiadał poważnie: — Żeby się nie umęczył!

Wygrzebał SLEPOWRON



anegdotki z zaścianka

Do swojej szlacheckiej rodziny zjechał stryjec. Wypadato go ugościć, więc gospodyni ugotowała jajko. Dzieci uderzyły w lament: — My też chcemy jajko!

A matka na to: — Przecie stryjo nie wotoduch, całego jajka nie zje. Jeszcze i dla was ostanie.

*

Szlachcie pokrył dach na chatupie byle jak omlóconą żytnią słomą. — Gdy przyszedł deszcz, dach zaizolował się młodym żytem. Cała rodzina dumiała, co z tym żytem począć, żeby się nie zmarnowało, i wydumiała: wciągnęła na dach wolca, żeby się popasł. Dach się zawalił, a wolec się udusił.

*

Gospodarzowi wlaź wieprzek w buraki. Stary chwycił bat i chciał wieprzka wygnąć, ale synkowie się sprzeciwili: — Podepczecie, tato, buraki!

Po długich obradach wsadzili ojca na nosilki i biegali z nim po zagonach. Tata wieprzka wygonił, a buraków nie zdeptał!

*

Przez szlachecką wieś jechał chłop i wszystkich grzecznie pozdrawiał.

Przyglądali mu się mieszkańcy, wreszcie spytali: — Waspan szlachcic?

— Nie, chłop.

— To nam nic do ciebie.

Wtedy rozżalony chłop spytał: — A Mądry gdzie tu mieszka?

— Mądrego tu nie ma.

A chłop w śmiech: — Prawda, toć to szlachecka wieś!

*

Na Wielkanoc zjechała się z różnych stron szlachecka rodzina. Gospodyni kupiła z tej okazji pół funta kawy, ugotowała bez zmielenia w saganie i podała gościom w misie. Siorbali, gryźli i pluli, po czym — żli — odjechali. A po drodze wydzwiali, że niegospodarni! — Ani dogotowała, ani omaściła, a do tego jeszcze przypaliła!

*

Do kościoła szlachecka rodzina jechała wasągami w półkoszach. Wszyscy gnietli się jak śledzie w beczce na tylnym siedzeniu ale na puste przednie nikt się nie kwapił.

— To miejsce dla stangreta — odpowiadał dumnie, chociaż takiej „instytucji” nie było w tych okolicach już od czasu królowej Bony.

Wygrzebał SLEPOWRON

Był sobie taki chłop, co zół z kobzieta już sterdzeci i pięćdeci lat, no i łona nigdy nie zidziała, coby on sie roześnił. A jest u nas taki zwyczaj, że w niedziele, kto ma kunie, to jadzie na paśnik z temi kuniami. I łon tes wzion w niedziele rano wstół i pojechał na tako łackie, a nazywo sie to Mocysko. Puścił kunie, spentół i chodzo. Juz było tak pod jesień, to myśli sobie co: posed do sąsiadowego ogroda, kartofli dwa dziesiątki ukopał, łogień rozpaluł i te kartofle psiece. A ze niał nieduże łognisko, to łon sobie usiod i na siedzącki tem kośćtrem nieśa.

Bo to jedno raz slysy takie coś: ssyyk. Drugi raz — ssyyk! Nie zie, co to tak sycy. Obejrzy sie, a tu żnija, takie strasce gadzisko, idzie i prosto lezie w to łognisko. To łon jo wzion tem kośćtrem odgania. A łona zawraca i nazad lezie w te łognisko. To łon jesse raz kośćtrem zawrócił, a łona jesse raz w to łognisko lezie. Jak on jo juz trzeci raz tak odsuwo, to mozi tak: — Nie leż, paskudnico, bo sie spolis!

A łona wtedy sie zwinieła, jek ta kielbasa u rzeźnika, ino leb wytknęła do zierzchu i tak sycy przez ten swój łozor, ale juz do niego godo ludzkim głosem. Poziada tak: — Kiedyś ty taki dobry, coś mnie nie doł spolic, to przytknij swój język do mojego, a bedies ziedziół, co ptaki gadajo.

A łon sie tak przeraził, jek ten Jadom z Raju, co to waz do niego ludzkim głosem przemóził, i boł sie. A łona pozieda tak do niego: — Przytknij, nie bój sie, tylko aby nikomu nic nie mow, bo jak pozies, to pomrzes...

A on sie wzion i roześnił.

A ta baba jego akurat była w łoknie i zobacyła. Niala juz krzyceć na niego, ze to on za wcas przyjechał z kuniami, ale jak zobacyła, ze łon sie roześnił, to i zabacyła krzyceć, tylko ze mozi: — Poziedz z cegoś sie roześnił?

I łon sobie przybacul: — Aha, nie wolno mnie godać, bo jak poziem, to pomre. Nie poziem ci, kobzieta — poziedziół.

— Jek to nie pozies, musis poziedziół!

A baba była ówana. Kuta na wszystkie stery kopyta. Mozi do niego tak: — Musis poziedziół! Musis poziedziół!

— Kobzietko, ja ci nie poziem, bo jek poziem, to zara pomre!

No to juz go i nie pytała, dała mu spokój na całe pięć minut; tyle, co pacierz zmoził. A potem to tak, jek i zieta wyssey, babska ciekawość: — Choć i pomrzes, ale poziedz — nastawała.

— No, co z tobo, babo, chorobo, zrobieć? To juz poziem.

— Ziez co, weź sie umy, to juz cie po śnierci nie bedo myć, mozi kobzieta.

To łon sie wzion i umiał.

— Ja ci dam bziół kosule, oblec, to juz po śnierci nie bedo obloceć.

To łon wzion kosule.

To ona wziena przyniosła stomy garzeć, przy łoknie mu podścielila, dwa śweci przy głozie mu zaswečila, i tak juz lezy w tej śniertelnej pościeli. A łona mozi jesse: — Ziez co, polece jesse po kumy, to bedo przy zgonie i uslyso, z eego ześ ty sie roześnił.

Puściła kokosy do izby, posypała

babska ciekawość

(GAWEDA KURPIOWSKA)



To on tak sie zebrał nareście na odwage i ten język przytknoł. Żnija jakoś zaraz wziena i przepadła. A łon juz nie patrzy tech kartofli, co sie dopsiekajo. Niejsca coś ni mo... Bo tu sie z niem coś stało. Żnija ludzkim głosem godała i przytknoł język; ni ma tak coś niejsca. Posed, wzion te kunie rozpentał, wsiad na jednego, a drugiego po boku tem pentem pogania i jadzie do domu. Ale jechał tez bez chojniak, tu Zaściankami, pod Zaspę. Ślucho, a wrony leco i tak kraco: — Kra! Kra! Kra! — A ze to ptoki, to un juz rozumioł, co oni godajo. Mozio tak do siebie: — Zieta, siostry, leciem, bo u Gabrysia to zdechła kobyła. Cuć ścierwo, to sie nazrem.

Przejeżdza kole domu, a ze to było jesse troche za wcas przyjechać, bo łon nioł jesse te kunie popaść, to ta jego kobzieta wyjrzało i mozi, co łon tak za wcas jadzie do domu.

Jak dojeżdżał do domu, a niał tak troche zyta w stodołę, a psienicy troszeczka w brogu, to w tem brogu siedziały wroble i jadły psenice. Jak zobaczyły, ze on jadzie, to mozio tak: — Uciekajta, bracia, uciekajta, siostry, bo nas gospodarz kijem wymłoci! — I tak wszystkie: frrr, poleciały. jem psenicy, a sama poleciała po te kumy.

A te kokosy jedzo i do siebie godajo. A ze to ptoki, to łon juz ziedziół, co godajo: — Jedzta, siostry, psenicke, jedzta, bo juz nas gospodarz uniero; pewnie zięcej juz gospodyni nam psenicki nie do.

A było ich dziesięć kokosow, a jedenasty był kogut, i on tak mozi: — A bo głups! Ja mom was dziesięć i sie was nie boje. A łon, głups, ma tylko jedno, i to od strachu uniro.

— Haaa! — poziada gospodarz — to tak? Wzion wstał z tej śniertelnej pościeli, posed, przynios postronek, wzion go w pomyje namocul, układ sie nazad i lezy.

To ta jego baba przysła z tako odwazniejszo i tak blizej do niego podchodzi. A te kumy sie bojo, bo tylo mo poziedziół słowo i zaro pomrzeć, to tak z daleca, tylo przy drzwiach. A łona taka odwazniejsza przysła do niego i gada: — No, poziedz ze mnie, z cegoś ty sie roześnił?

A łon wzion wstał, ten postronek z tech pomyjow wyjon, babe za łeb niedzy nogi wzion i tak po schabach jo — ode łba do ogona, ode łba do ogona — tłuce i mozi: — A z tegom sie roześnił! A z tegom sie roześnił!

I zół jesse długo, siła lat. I by buł już jesse do dziś, zeby buł nie pomre. Spisał JOZEF RYBIŃSKI

BAWIALNIA

BAWIALNIA

BAWIALNIA

